RODZINA I DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 6

ROK III CZERWIEC 1938

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

T R E Ś Ć:

NR 6 CZERWIEC 1938 ROK III

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Bogdan Nawroczyński.

Prof. U. J. P.

RÓŻNE FORMY KOŃCZENIA SZKOŁY ŚREDNIEJ.

Streszczenie odczytu, wygłoszonego na Konferencji Dyrektorów liceów ogólnokształcących dn. 7 marca r. b. w Warszawie.

Końca szkoły średniej nie można oddzielić od pracy wychowawczej i dydaktycznej, która do niego prowadzi, zwłaszcza w ostatnich jej latach. Formy kończenia tej szkoły winnyby tak organicznie wyrastać z całego życia szkolnego w tych latach, jak z kwiatów i pączków powstają owoce. Mając mówić o owocach, zacznę zatem od kwiatów i pączków.

żądaniem ostatnich lat szkoły średniej jest doprowadzić do syntezy te różnorodne wpływy wychowawcze i dydaktyczne, którym młodzież podlegała w latach poprzednich. Taki też syntetyzujący charakter mają klasy filozofii i matematyki w liceach i kolegiach francuskich. Bakalaureat jest uwieńczeniem ich pracy.

Mniej zdecydowaną fizjonomię miały skasowane obecnie klasy dziewiąte gimnazjów niemieckich. Za to w Niemczech i Austrii wprowadzono po wojnie ciekawą nowość w postaci rocznej pracy szkolnej ucznia (Jahresarbeit). Polega ona na tym, że uczeń ostatniej klasy obowiązany jest w ciągu roku opracować na piśmie temat, pozostający w związku z materiałem, przerobionym w szkole. Wyboru tematu dokonywa uczeń. Jego roczna praca jest jednym z warunków dopuszczenia do egzaminu dojrzałości. Ocena tej pracy brana jest pod uwagę przy decydowaniu o dojrzałości ucznia. Na podstawie tej oceny można być zwolnionym od egzaminu piśmiennego z danego przedmiotu. Oto przykład, w jaki sposób syntetyzująca praca szkoły może wrastać w egzamin końcowy.

Ale nie tylko egzamin jest formą kończenia szkoły średniej. Obok egzaminu występują jeszcze: porada zawodowa i różne towarzyskie formy kończenia szkoły średniej. O tych trzech formach kończenia szkoły średniej będę mówił w dalszym ciągu mego referatu. Zaczynam od porady zawodowej.

Sprawa ta zwraca na siebie coraz większą uwagę organizatorów szkolnictwa. Dotychczas najwięcej zdziałano na tym polu dla młodzieży, kończącej powszechną szkołę, — i słusznie! Z kolei jednak powstają

próby zorganizowania racjonalnego poradnictwa dla młodzieży, wybierającej kierunek studiów w zakresie szkoły średniej. Dla tej młodzieży przeznaczone są classes d'orientation, które zainicjował we Francji minister Jean Zay.

Z przyjemnością zaznaczam, iż jeśli chodzi o poradnictwo zawodowe dla młodzieży, kończącej szkołę średnią, to szczególnie dobre ujęcie tego zagadnienia zawiera się w Programie naszych liceów ogólnokształcących. Nakłada on, mianowicie, na dyrektora tych szkół obowiązek organizowania poradnictwa zawodowego dla uczniów, opuszczających liceum. Uczniowie ci mają otrzymywać informacje o wyższych uczelniach, o różnych zawodach, o warunkach niezbędnych do osiągnięcia danego zawodu i dane, dotyczące rynku pracy. (Program, str. 20). Jest to, jak sądzę, prawidłowe postawienie sprawy. Niestety, trudno być zadowolonym z wykonania tego przepisu.

W Warszawie np. odczyty z tej dziedziny, organizowane przez Instytut Oświaty Pracowniczej, nie cieszą się należytą frekwencją. Korzysta z nich niespełna 10% abiturientów. To za mało! Szkoły powinnyby zatroszczyć się o to, aby młodzież, kończąca szkołę średnią, korzystała z tych odczytów w stu procentach.

Przechodzę do egzaminów. Niepopularna to instytucja! Czyż potrzeba przypominać zarzuty, które jej czynili i czynią nie tylko rodzice, przeżywający gorączkę egzaminową wraz ze swoimi synami i córkami, lecz również liczni psychologowie, pedagogowie i higieniści? A jednak pomimo tych gromów egzaminy jak istniały, tak istnieją. Co więcej, sieć ich zagęszcza się coraz bardziej na świecie i wymagania rosną. Stwierdza to w niewątpliwy sposób najciekawsza z publikacyj, poświęconych w ostatnich czasach sprawie egzaminów. Mam na myśli sprawozdanie z międzynarodowej konferencji w sprawie egzaminów, którą zorganizował w roku 1933 Międzynarodowy Instytut Kolegium Nauczycielskiego Uniwersytetu Kolumbijskiego przy poparciu Fundacji Carnegie. Konferencja odbyła się w Londynie przy udziale najwybitniejszych pedagogów amerykańskich i brytyjskich, oraz zaproszonych znawców z Finlandii, Francji, Niemiec, Norwegii i Szwecji. (Conference on Examinations, Bureau of Publications, Teachers College, Columbia University, New York, 1936).

Czym się to tłumaczy, że egzaminy coraz bardziej rozkrzewiają się w szkolnictwie, choć stosunek świata pedagogicznego do nich jest na ogół negatywny? — Tym, jak się zdaje, że egzaminy, podobnie zresztą jak i sama szkoła, są instytucją przede wszystkim społeczną. Nie zrodziły one się z pedagogicznej dążności do wychowywania i nauczania. Ich pierwotnym zadaniem jest przeprowadzać selekcje, podyktowane interesem czy to pewnej warstwy społecznej lub kulturalnej, czy państwa. Z takiego heterogenicznego pochodzenia egzaminów wynika wiele trudności pedagogicznych. Nie wynika stąd jednak, aby pedagog miał je traktować

jako obce ciało, które, gdyby się dało, najlepiej byłoby zniszczyć. Dużo więcej dobrego można osiągnąć, usiłując przetworzyć to obce ciało w racjonalny z punktu widzenia pedagogiki środek kontroli osiąganych wyników i prognozy rozwijających się zdolności. Pedagog, zamiast potępiać w czambuł wszelkiego rodzaju egzaminy, lepiej zrobi, usiłując je spedagogizować. Takie też pozytywne i aktywne stanowisko względem egzaminów zajęła na konferencji londyńskiej 1933 r. grupa pedagogów amerykańskich.

Ale też w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej egzaminy mają inny charakter, niż w starej Europie. Powstały one nie z inicjatywy państwa, lecz samych szkół. Stąd ogromna rozmaitość systemów. Niektóre szkoły średnie dotychczas urządzają egzaminy końcowe u siebie, zapraszając na nie notablów, aby opinia publiczna mogła się przekonać o poziomie nauczania. Abiturienci innych szkół zdają egzaminy wstępne w szkołach wyższych. Największym jednak uznaniem cieszy się zainicjowany w 1870 r. przez uniwersytet w Michigan system „akredytowania" szkół średnich przez uniwersytet lub komisję, wyłonioną przez grupę szkół wyższych. Owo „akredytowanie" polega na dopuszczaniu uczniów tych szkół do studiów wyższych na podstawie kontroli, której szkoły średnie poddają się dobrowolnie. Kontrola polega nie tylko na wizytowaniu szkół przez delegatów szkół wyższych, lecz również na całym systemie egzaminów, często przybierających charakter badania rozwoju umysłowego i postępów za pomocą testów.

Cały ten system „akredytowania" wyniknął stąd, że kontrola wyników pracy szkół średnich potrzebna jest szkołom wyższym. W życiu natomiast praktycznym dyplom szkolny nie ma w Stanach Zjednoczonych tego znaczenia, co w Europie. Za oceanem, przyjmując młodego człowieka do business'u, pytają go nie tyle o świadectwo szkolne, co o to, *co on potrafi zrobić*. W tym kierunku też nastawione jest szkolnictwo amerykańskie.

Egzaminy na wyspach brytyjskich, choć mają pewne cechy wspólne z amerykańskimi, to jednak stanowią system nieco bardziej jednolity, przy tym, jak całe szkolnictwo brytyjskie, są owiane odmiennym duchem. Jeden z najlepszych znawców współczesnego wychowania angielskiego, M. Sadler, przeciwstawił kiedyś amerykańskiemu pytaniu, co ty potrafisz zrobić? — angielskie pytanie: — *jakim ty jesteś człowiekiem?* Wyznaję otwarcie, iż sympatie moje są po stronie systemu, który usiłuje odpowiedzieć na to właśnie pytanie. — Niestety, Polska należy do europejskiego systemu kontynentalnego, w którym pytają w szkołach przede wszystkim o *ilość posiadanych wiadomości*. Nie pochwalając takiego postawienia sprawy, trzeba się jednak z nim liczyć. Polska bowiem znajduje się w tej sytuacji, iż musi wytrzymać na wszystkich polach, a więc i w dziedzinie kultury

umysłowej, ostrą konkurencję z wielkimi mocarstwami zachodnimi. Chociaż więc nasze wychowanie winno dbać przede wszystkim o dzielność charakterów i rozwój umysłów, to jednak nie może ono dopuszczać do tego, aby młodzież, kończąca nasze szkoły średnie, miała o wiele mniej wiadomości od młodzieży niemieckiej i francuskiej.

Na kontynencie europejskim właśnie Niemcy i Francja wytworzyły dwa klasyczne systemy egzaminów, zakończających studia w szkole średniej. System francuski, przy którym abiturienci zdają bakalaureat przed komisją o b c ą, złożoną z profesorów uniwersytetu i wybranych nauczycieli szkół średnich, jest bardziej ostry od matury niemieckiej, przy której, podobnie jak u nas, egzaminatorami są w zasadzie nauczyciele abiturientów. Przez pierwszą część bakalaureatu francuskiego przechodzi pomyślnie zaledwie około 40% kandydatów, — przez drugą, zdawaną po roku — około 55%. Tak wielkim kosztem Francja zabezpiecza wysoki poziom swoich szkół wyższych, a co za tym idzie, wyjątkową rzeczywiście kulturę ogólną swej inteligencji. Przy łagodniejszym systemie egzaminów geniusz francuski, o którym się tak często mówi, pojawiłby się zapewne w postaci bardziej rozcieńczonej.

Nie wynika stąd, aby system francuski należało uznać za wzorowy. Tylko kraj tak bogaty jak Francja może sobie pozwolić na odrzucanie przy egzaminach tak ogromnych odsetek kandydatów, — którym zresztą pozostawia się możność próbowania swych sił w następnych terminach. Z punktu widzenia pedagogicznego systemowi francuskiemu trzeba postawić bardzo duże zarzuty. Otrzymują przy nim premię natury retoryczne, — przepadają umysły nie umiejące się efektownie uzewnętrzniać, lecz za to może skupione i głębokie.

Dla takich umysłów o wiele korzystniejszy jest system niemiecki. Pomyślany jako „organiczne zakończenie pracy szkolnej", opiera on się na o s o b i s t e j znajomości uzdolnień, zamiłowań i postępów każdego kandydata. W tych warunkach przypadek nie może odgrywać tej roli, co przy egzaminach francuskich. Cóż dopiero, gdy egzaminatorzy zastosują się do przepisu regulaminu pruskiego, który bardzo rozumnie powiada, iż „jest bardziej celowe egzaminować kandydata z przedmiotów, w których może on wykazać samodzielnie swoje siły, niż w tych, do których ma mniejsze powołanie".

Uwzględniając w ten sposób indywidualność wychowanka, regulamin pruski nie pozwala mu jednak wybierać sobie przedmiotów egzaminu, jak to się dzieje u nas od 1925 r. Po kilkunastu latach próby śmiało już można stwierdzić, że ten nasz system nie dał dobrych wyników. Doprowadził on do lekceważenia sobie przez uczniów ostatnich klas szkoły średniej tych przedmiotów, których mają prawo nie wybrać do egzaminu, dopuścił do rozwinięcia się demoralizującej spekulacji w kierunku łatwizny. Dlatego sądzę, iż czas by już był zawrócić z tej drogi. Zwracam uwagę na to, iż

w regulaminie pruskim uczeń musi sobie zapracować na zwolnienie od egzaminu piśmiennego swoją piśmienną pracą roczną (Jahresarbeit), egzaminy zaś ustne zdaje w zasadzie z wszystkich przedmiotów klasy ostatniej, deklarując tylko, który przedmiot lub które przedmioty opracował najlepiej. Z tego przedmiotu lub z tych przedmiotów Komisja ma go egzaminować przede wszystkim, nie tracąc prawa do stawiania w miarę potrzeby pytań i z innych przedmiotów.

Nasz system pod innym jeszcze względem różni się niekorzystnie od systemu francuskiego, a zwłaszcza niemieckiego. U nas mianowicie o tzw. dojrzałości ucznia rozstrzyga na egzaminie wyłącznie jego sprawność umysłowa i wiedza. Innych natomiast okoliczności, jak ujawnionych podczas egzaminu wad charakteru, nie bierze się dostatecznie pod uwagę. Szczególnie razi mnie dziwna u nas pobłażliwość dla nieuczciwości. Przewodniczący Komisji egzaminacyjnej ma, co prawda, prawo usunąć abiturienta, który oszukuje, z egzaminu piśmiennego. Usunięty jednak kandydat zdaje zazwyczaj po raz drugi dany egzamin w tej samej sesji egzaminacyjnej, kara zaś spada na przewodniczącego, który musi go jeszcze raz pilnować w ciągu 5-ciu albo 3-ch godzin.

Inaczej te sprawy są traktowane we Francji. Tam oszustwo na egzaminie jest karane surowo jako wykroczenie względem państwa. Grozi za nie grzywna od 100 do 10.000 franków i więzienie od 1-go do 3-ch miesięcy!

I znowu nie myślę uważać tego rodzaju kary za wzór dla nas. Wykroczeń podczas egzaminu nie należy traktować z punktu widzenia kodeksu karnego. Chciałbym, aby jeszcze i w tym końcowym momencie względy pedagogiczne górowały nad innymi. Jednak właśnie te względy pedagogiczne przemawiają za tym, aby nie uznawać za dojrzałych tych kandydatów, którzy okazali wyraźną niedojrzałość moralną. Takie cechy charakteru, jak opanowanie nerwów, uczciwość, uspołecznienie, uobywatelnienie winnyby wpływać na ostateczną decyzję Komisji egzaminacyjnej w stopniu nie mniejszym od cech umysłowych.

Z dobrym zrozumieniem tej sprawy spotykamy się w Niemczech. Regulamin pruski wyraźnie zaleca komisjom egzaminacyjnym brać pod uwagę nie tylko rozwój umysłowy kandydatów, lecz również ukształtowanie ich charakterów. Na równi z ocenami rocznymi komisje rozpatrują dane, dotyczące udziału kandydata w organizacjach młodzieży. Nawet wyniki w zakresie wychowania fizycznego są jednym z warunków uzyskania świadectwa dojrzałości: — szczegół nie obojętny ze względu na obronność kraju.

Trzecią formą kończenia szkoły średniej są uroczystości towarzyskie, następujące po egzaminach. W wielu szkołach rozdanie świadectw dojrzałości odbywa się uroczyście z udziałem rodziców uczniów. Po tym uroczystym akcie czasem następuje wieczór pożegnalny lub wycieczka. Bywa

jednak i tak, że całą sprawę organizuje młodzież w szkole lub poza szkołą.

Pragnąłbym zwrócić uwagę na to, że podczas tych koleżeńskich wieczorów, czy raczej nocy pożegnalnych, czasem wychodzi na jaw, jak słabo wychowaną bywa młodzież, uznana za dojrzałą. Niektóre z tych zebrań zaczynają się w knajpie, a kończą w miejscach rozrywkowych o najgorszej sławie. Wydaje mnie się, że szkoły, koła rodzicielskie i organizacje uczniowskie winnyby dołożyć starań, aby tego rodzaju formy kończenia szkoły średniej znikły raz na zawsze. Młodzież nie zawsze zadowala się uroczystością szkolną, to prawda. Często pragnie ona spędzić wieczór pożegnalny w gronie koleżeńskim. Czyż jednak w tym wypadku nie powinna być dla niej najsilniejszym magnesem organizacja uczniowska, do której należała?

Na tym kończę przegląd różnych form kończenia szkoły średniej. Omówiłem trzy sprawy: poradę zawodową, egzaminy i uroczystości towarzyskie. Wszystkie one mają charakter zakończający ze stanowiska szkoły, którą młodzież opuszcza. Dla młodzieży jednak te formy kończenia szkoły są jakby otwieraniem nowego okresu życia, bardziej świadomego, bardziej samodzielnego od tego, który minął. W związku z tym każda z tych trzech form powinna być nie tylko z a k o ń c z e n i e m lat szkolnych, ale i z a p o c z ą t k o w a n i e m nowego życia.

Ten prospektywny charakter najwyraźniej zaznacza się w poradzie zawodowej. Ale i egzamin będzie miał twarz zwróconą nie tylko ku przeszłości, ale i ku przyszłości, jeżeli nie ograniczy się do diagnozy, lecz będzie dążył do prognozy, jak tego domagano się na konferencji londyńskiej w 1933 r. Treścią wreszcie form towarzyskich winno być nie tylko pożegnanie, lecz również zaznaczenie nierozerwalności nici, wiążących szkołę z opuszczającymi ją wychowankami. Szkoła im wiele jeszcze dać może życzliwych rad i wskazówek.

Niechże i po wydaniu świadectwa dojrzałości wiedzą, że ona jest dla nich w dalszym ciągu alma mater.

Im bardziej szkoła służy potrzebom życia, tym mniej kończy, tym więcej zaczyna.

Tomasz Marycki.

ABITURIENCI SZKÓŁ ŚREDNICH W PRZEDDZIEŃ POWAŻNEGO EGZAMINU ŻYCIOWEGO.

W bieżącym roku weszła częściowo w życie nowa ustawa o powszechnym obowiązku służby wojskowej. Termin rozpoczęcia tej służby przez młodzież męską, który normalnie jest przewidziany po ukończeniu 21 roku życia, został przyśpieszony dla kończących szkoły średnie. Abiturienci

tych zakładów, i to zarówno ogólnokształcących jak i zawodowych, będą odtąd powoływani do szeregów z tym oczywiście zastrzeżeniem, że zostaną uznani przez komisje poborowe za zdatnych do służby wojskowej. Ogół zatem tegorocznych maturzystów znajdzie się już jesienią w szkołach podchorążych rezerwy i dopiero za rok, po zwolnieniu z wojska, będzie mógł ewentualnie rozpocząć studia wyższe.

Ponieważ zaś nowa ustawa przewiduje jako warunek uzyskania prawa do skróconej służby wojskowej, odbycie służby pracy, przeto w okresie wakacyjnym czeka abiturientów wcielenie do junackich hufców pracy, prowadzonych obecnie przez władze wojskowe. Szczegółowe zarządzenia podane do wiadomości szkół określają terminy tej służby, wymiar jej w roku bieżącym wynosi cztery tygodnie.

Tegoroczni więc maturzyści będą musieli w najbliższym już czasie zdobyć się na poważny wysiłek służby pracy „z łopatą w ręku", do której na ogół nie są przyzwyczajeni. Dodać jeszcze należy, że jest rzeczą wskazaną, aby złożyli oni przed wojskiem egzamin wstępny w tych wyższych uczelniach, w których złożenie takiego egzaminu jest warunkiem przyjęcia na studia. Ociąganie się z tym do roku następnego, po ukończeniu służby wojskowej, może pociągnąć za sobą niekorzystne następstwa. Wiadomości wyniesione ze szkoły średniej trzeba będzie po roku przerwy odświeżać, a czasu na przygotowanie się do egzaminu może nie wystarczyć, ponieważ zwolnienie z szeregów wojskowych następuje dopiero pod koniec września, tuż przed początkiem akademickiego roku szkolnego.

Skończył się więc okres tak beztrosko dawniej spędzanych najdłuższych w życiu wakacji, między egzaminem dojrzałości a początkiem studiów na wyższej uczelni. Ulegnie on dużemu skróceniu i zostanie częściowo wypełniony trudnymi zadaniami, jakie trzeba będzie wykonywać w junackich obozach pracy.

Z pewnym niepokojem przyjęli rodzice nowe zarządzenia. Budzą się u niejednych wątpliwości, czy niezaprawieni do pracy fizycznej młodzi chłopcy potrafią podołać włożonym na nich obowiązkom? Czy praca taka dla organizmów osłabionych wysiłkiem umysłowym i fizycznym w czasie przygotowywania się do matury i w okresie samych egzaminów nie będzie zbyt wielkim ciężarem? Czy wreszcie służba wojskowa tak wcześnie odbyta nie będzie szkodliwa dla zdrowia?

Szukając odpowiedzi na te wątpliwości, należy zdać sobie sprawę, że były one przedmiotem szczegółowych rozważań czynników fachowych, zanim projekt nowej ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej został złożony do ciał ustawodawczych.

Korzyści wychowawcze zaś, zarówno służby pracy jak i służby wojskowej przed studiami akademickimi, są tak duże, że muszą im ustąpić inne racje.

Zetknięcie się absolwentów szkół średnich z młodzieżą pracującą fizycznie przy wspólnym warsztacie pracy posiada ogromne znaczenie spo-

łeczno - państwowe. Służba w junackich hufcach wprowadzi młodzież z t. zw. cenzusem w nieznany jej na ogół z bezpośredniego przeżycia świat pracy fizycznej. Przyszli przywódcy w życiu zbiorowym wyniosą z obozów poszanowanie dla wysiłku fizycznego, dla człowieka pracy; przez codzienne zaś obcowanie z młodzieżą nieposiadającą studiów średnich będą mogli wywierać dodatni wpływ na swych towarzyszy, ucząc się nawzajem od nich umiejętności dostosowywania się do skromnych warunków życia, a nadto wytrzymałości i odporności — wartości, które zdobya się przede wszystkim w trudzie pracy fizycznej. Nie potrzeba dowodzić, jak wielkie znaczenie będzie mieć udział młodzieży z cenzusem w junackich hufcach dla naszej kultury narodowej, w której słusznie wytykamy tendencje elitaryzmu społecznego i tak niedemokratyczne wywyższanie się jednych warstw ponad drugie. Pobyt w junackich hufcach pracy, których organizacja jest oparta na zasadach wychowania żołnierskiego, będzie wreszcie doskonałą zaprawą do służby wojskowej.

Doświadczenie z roku ubiegłego, w którym, na podstawie ochotniczego zaciągu, z górą 500 absolwentów szkół średnich zostało wcielonych na okres pięciu tygodni do junackich kompanii, pozwala być dobrej myśli.

Zakwaterowanie młodzieży, jak nas informują uczestnicy obozów, było dobre, każdy oddział miał zapewnioną pomoc lekarską. Młodzież znosiła bez uszczerbku dla zdrowia wysiłek fizyczny, osiągała w przepisanym dla junaków wymiarze sześciu godzin pracy wyznaczone normy, wdrażała się szybko do porządku wojskowego. Wyrazem zaś jej dobrego samopoczucia była duża ilość zgłoszeń na drugi turnus tych maturzystów, którzy odbyli już służbę w turnusie pierwszym.

Praca — głównie przy robotach ziemnych — nie była łatwa, dawała się zwłaszcza we znaki w pierwszych tygodniach. Jednak przebywanie na świeżym powietrzu, w zdrowych pod względem położenia okolicach, a przede wszystkim przekonanie o wykonywaniu pożytecznej dla państwa pracy ułatwiały przezwyciężanie trudów i wywiązywanie się z obowiązków.

Cele wychowawcze zostały osiągnięte. Maturzyści zbliżyli się do młodzieży bez cenzusu, wnosząc do życia obozowego szereg wartości. Podnosili zwłaszcza kulturę życia codziennego junaków, prowadzili prace świetlicowe, kierowali zajęciami wychowania obywatelskiego i fizycznego.

Zeszłoroczny pobyt maturzystów w junackich obozach pracy nasunął władzom wojskowym szereg spostrzeżeń, które będą obecnie wyzyskane i przyczynią się do dalszego doskonalenia organizacji junackiej pracy oraz stosowanych w hufcach metod wychowawczych.

Niemniejszą korzyść przyniesie młodzieży odbycie służby wojskowej bezpośrednio po ukończeniu szkoły średniej. Wychowanie wojskowe stanowi konieczne uzupełnienie wychowania rodzinnego i szkolnego. Młodzież opuszcza szeregi wojskowe, wzbogacona w cenne zdobycze natury moralnej, wśród których na plan pierwszy wysuwa się wyrobienie życiowe i dy-

scyplina. Obydwa te czynniki są bardzo potrzebne jednostce, a zwłaszcza u progu życia samodzielnego, jakie czeka studenta na wyższej uczelni. Rola zaś tych czynników ze stanowiska obywatelskiego nie potrzebuje szczegółowego uzasadnienia.

Zagadnienie, w jaki sposób dostosować wymagania służby wojskowej do sił fizycznych 18-letniej młodzieży, jest zagadnieniem metody pracy. Możemy być spokojni, że zostanie rozwiązane pomyślnie przez odpowiedzialne za to czynniki. W tej dziedzinie mamy również za sobą dłuższe doświadczenie. W ostatnich bowiem latach z roku na rok wzrastała ilość ochotników, odbywających służbę wojskową przed studiami akademickimi. Młodzież ta znosiła dobrze związany ze służbą wysiłek fizyczny, po powrocie zaś do życia cywilnego odróżniała się dodatnio wśród kolegów uniwersyteckich swą postawą obywatelską.

* * *

Egzamin życiowy, przed którym stoją tegoroczni abiturienci, nie jest więc trudem p o n a d i c h s i ł y. Wielkie zaś racje społeczno - państwowe, przyświecające nowej organizacji służby wojskowej, nakazują w s p ó ł d z i a ł a n i e wszystkim czynnikom, odpowiedzialnym za dzieło wychowania narodowego i przygotowanie młodzieży do obrony kraju. Wśród tych czynników nie małe jest zadanie domu rodzicielskiego, na który spada obowiązek zajęcia w tej sprawie postawy pozytywnej.

Dr Wanda Szaynokowa

PRZYSPOSOBIENIE DO WOJSKOWEJ SŁUŻBY POMOCNICZEJ W LICEACH ŻEŃSKICH.

Rozporządzenie Ministra W. R. i O. P. i Ministra Spraw Wojskowych z dnia 10 września 1937 roku wprowadziło przysposobienie wojskowe do liceów żeńskich i męskich ogólnokształcących i zawodowych jako obowiązkowy przedmiot nauczania.

Program dla liceów żeńskich obejmuje w klasie I-ej ratownictwo sanitarne wraz z pielęgniarstwem i transportem rannych oraz służbę tj. podstawowe wiadomości o życiu i strukturze wojska.

Wojna przyszłości stawiać będzie tak ciężkie wymagania ogółowi społeczeństwa, że zwycięstwo będzie należało do tego narodu, który się w pełni do tych wymagań przygotuje. W pełni, to znaczy poza innymi warunkami nie zaniedba przeszkolenia nie tylko mężczyzn, ale i kobiet. Państwo nasze, więcej niż kiedykolwiek, potrzebuje obecnie dzielnych, odważnych i rycerskich kobiet, których tradycja żyje w naszym społeczeństwie. Nie obawiajmy się słowa „rycerska” kobieta, nie utracą przez to nasze córki nic ze swej wartości, ze swego dziewczęcego wdzięku. Czyż

nie rycerzami wolności były nasze matki i babki, ukradkiem, przy szczelnie zamkniętych oknach, z pożółkłych kartek zeszytów przez matkę córce przekazywanych, uczące swe dzieci pieśni legionów Napoleona, pieśni powstańców 31 i 63 roku?

Przyszłą matkę czekają inne zadania. Musi ona umieć bronić swego gniazda rodzinnego przed wrogiem. Bronić w dosłownym znaczeniu przed okrutnymi gazami, przed grozą wojny lotniczej, przed podstępną wojną bakteriologiczną. Musi posiadać wielką moc, by nie załamać się, by nie upaść na duchu, a wiarą w zwycięstwo krzepić siebie i swe otoczenie w najcięższych chwilach.

Sama siła charakteru nie wiele pomoże kobiecie, gdy nie będzie umiała się bronić. Musimy więc dać jej tę broń do ręki, szkoląc ją odpowiednio. Wiadomości z dziedziny przysposobienia do obrony kraju są kobiecie również potrzebne, jak nauka polskiego, matematyki czy przyrody. I dlatego stanowią one obowiązkowy przedmiot nauczania.

Dziewczęta w hufcu szkolnym zorganizowane są w drużyny, sekcje czy patrole, zależnie od liczebności hufca. W oddziałach tych obowiązują formy i dyscyplina wojskowa. Ma to swoje doniosłe wartości wychowawcze i uczy opanowania, karności, dokładności w wykonywaniu rozkazów, umiejętności podporządkowania się, a także dowodzenia i rozkazywania w przyszłości, gdy nasze, dorosłe już dziewczęta, w razie potrzeby same staną na czele sekcji ratowniczo-sanitarnych i nieść będą pomoc rannym czy zagazowanym w miejscach swojego zamieszkania.

Praca w hufcu wymaga nieraz dużo hartu, przezwyciężenia się, opanowania. Nosze są ciężkie, zwłaszcza gdy leży na nich koleżanka, która po mistrzowsku udaje „trupa". Dźwigać je jednak trzeba, znosić i wnosić po schodach, nieraz przenieść przez płot lub rów. Podczas praktyki w szpitalu ściskają się młodziutkie serduszka lękiem i grozą na widok krwi, ran, cierpienia — trzeba się jednak opanować i nawet zdobyć na uśmiech pogodny.

Trzeba, bo dziewczyna współczesna, kobieta-matka w przyszłości zdobyć się na ten hart musi. Tego od niej wymaga rzeczywistość, bo tylko wtedy, gdy hartowna jak stal wejdzie w życie, nie utraciwszy przy tym tego co w kobiecie jest najistotniejszą wartością: gorąco miłującego, wrażliwego na cierpienia bliźnich i gotowego do ofiar serca — zasłuży na zaszczytne miano kobiety-obywatelki. Nie należy jednak zapominać, że ta istotna wartość kobiety: miłość do wszystkiego co żyje, macierzyńsko-opiekuńczy stosunek do bliźnich będzie cenna, o ile będzie to miłość czynna. Trzeba, by pierwszą myślą po uświadomieniu sobie czyjegoś cierpienia było — jak pomóc i ulżyć cierpiącemu. Nie trzeba nam bezpłodnych łez i roztkliwiań się, nie trzeba kobiet mdlejących na widok krwi i ran — są one balastem i przeżytkiem. Potrzeba mocnych, mądrych i dobrych

kobiet, umiejących zawsze i wszędzie nieść czynną pomoc cierpiącym. I tego uczą hufce szkolne.

Wiadomości z dziedziny ratownictwa sanitarnego i pielęgniarstwa przydadzą się kobiecie nie tylko w razie wojny. Ileż to razy życie codzienne przynosi ze sobą taki czy inny nieszczęśliwy wypadek. Ile istnień ludzkich ginie, bo nikt z obecnych nie umiał poradzić w danym wypadku przed przybyciem lekarza. Ileż razy właśnie kobieta staje bezradna przy łóżku najbliższych i najdroższych i ulżyć ich cierpieniom nie potrafi. Jak mocne i mądre staną się tkliwe ręce matki czy żony, gdy będą umiejętnie spełniać zlecone przez lekarza zabiegi przy najdroższych cierpiących istotach! I po to uczą się nasze dziewczynki trudnych zabiegów pielęgniarskich i dlatego posyłamy je na praktykę do szpitali.

Praktyka szpitalna! Te słowa napełniają lękiem niejedno matczyne serce. Na co tam patrzeć będzie ukochana córeczka, od której rodzice usiłowali odsunąć każde cierpienie i szpetotę życia? Czy nie zgorszy się widokiem obnażonego ciała? Czy nie zemdleje na widok ran i krwi?

Odrzućmy od siebie te obawy i spójrzmy śmiało w oczy rzeczywistości. Szkoła ma przygotować do życia. Chłopca przygotowuje i szkoła i twarda służba wojskowa — dziewczynę tylko szkoła. Niechże nasze córki odważnie spojrzą w twarz temu życiu! Niech poznają cierpienie i nędzę ludzką, i łzy, i ból i niech się w nich obudzi dążenie do walki z tymi ciężkimi stronami życia! Właśnie w szpitalu mają one pole do czynnej reakcji na cierpienia bliźnich. Mogą pomagać nie tylko wykonując te czy inne zabiegi, ale wnosząc między chorych swą radosną, zwycięską młodość, swe wrażliwe serca, swą chęć ulżenia cierpieniom. A proszę mi wierzyć, że w leczeniu nie są to wartości poślednie. Uśmiech życzliwy, krótka rozmowa z chorym, zrozumienie dla jego cierpień, dostarczenie mu rozrywki w formie książki czy gazety — są równie cenne, jak te czy inne zabiegi lecznicze.

Po pierwszym wstrząsie psychicznym, jaki każda dziewczynka, odbywająca praktykę w szpitalu przechodzi, zjawia się chęć czynu i zrozumienie dla wartości pracy personelu sanitarnego w szpitalu. Stają więc same do pracy i nieraz są dzielnymi pomocnicami sióstr pielęgniarek. Tak było we Lwowie, w Dąbrowie Górniczej, w Białej — czyż można wyliczyć te wszystkie miejscowości, te wszystkie szpitale, w których uczennice stały się pomocą pielęgniarkom, jasnym promieniem dla chorych!

I jeszcze jedna wątpliwość: czy mogą dziewczynki odbywać praktykę na salach męskich? Z pewnością tak! Proszę mi wierzyć, że w szpitalu nie ma kobiet i mężczyzn — są chorzy. I tylko tak patrzą na nich lekarze, pielęgniarki i praktykantki. Czyż płeć coś znaczy wobec cierpienia i czyż nie takim samym bezradnym dzieckiem, potrzebującym opieki, pomocy i otuchy jest najsilniejszy mężczyzna, jak i najsłabsza kobieta? Podczas

praktyki w szpitalu nie ma miejsca na niezdrową ciekawość, po prostu dlatego, że taka ciekawość kończy się tam, gdzie się zaczyna cierpienie.

Wracają więc dziewczęta ze szpitali poważniejsze, zwykle zmęczone, nieraz ze smutkiem w oczach, ale mocniejsze i hartowniejsze. Wracają z przeświadczeniem, że dużo jest męki i smutku na świecie, ale że zło to można i należy zmienić, że można ulżyć cierpieniu i otrzeć łzy. W młodych sercach zapala się żądza czynu. A to są wartości istotne.

Janina Rendznerowa.

SPORT W RODZINIE.

Różnorodność i doniosłość wydarzeń, jakich jesteśmy świadkami, przemiany ideologiczne, a szczególnie szalone ich tempo oszałamiają współczesnego człowieka. Brak spokoju, brak równowagi wewnętrznej daje mu się we znaki. W rodzinie, w rodzinnym wychowaniu dotkliwie się to odbija. Obserwujemy z niepokojem wielką trudność w kierowaniu młodym pokoleniem, a zwłaszcza we wpływach rodziców na rozwój światopoglądowy młodzieży. Bo jakkolwiek dobrze sobie uświadamiamy, jakie ideały chcielibyśmy wszczepić w nasze dzieci, jednak wiemy, że wychowanie musi być przygotowaniem do życia. Idealizm zaś trzeba umieć pogodzić z realizmem, bo dzieci nasze będą żyły w świecie rzeczywistym, w tym świecie, w którym niestety siła pięści i przemoc fizyczna wyrabia sobie nie tylko zwycięstwo, ale i uznanie.

W rodzinie niezbędna jest pewna zwartość atmosfery moralnej, regulująca kształtowanie światopoglądu dojrzewającego pokolenia, co jest możliwe tylko przy żywej wpółpracy wszystkich członków rodziny, gdyż tylko przez wspólny wysiłek (świadomy i nieświadomy) wytwarza się odpowiednia postawa do życia, nadająca pewien styl życiu rodzinnemu, decydująca o poziomie moralnym i kulturalnym przeżyć indywidualnych i zbiorowych. Do tego konieczna jest umiejętność porozumienia się. Jakież drogi do tego prowadzą? Przygotowanie psychologiczne ułatwia nam orientację w fazach rozwojowych dziecka w ogóle, a w związku z tym pozwala na trafne ujmowanie objawów właściwych danemu wiekowi i typowi. Jednak, aby poznać nie dziecko w ogóle, ale to jedno nasze własne, które zawsze tak trudno podporządkować klasyfikacji zasadniczej, niezbędne jest socjologiczne podejście do jego przeżyć i do jego zachowania. Należy jak najbliżej współżyć z dzieckiem, wtedy występują na jaw właściwości charakteru, które ułatwiają nam poznanie dziecka, zorientowanie się, skąd płyną bodźce jego postępowania.

Wiele rodziców zdaje sobie doskonale sprawę z konieczności jak najbliższego współżycia z dziećmi, niestety nie zawsze i nie wszystkim się to udaje. Z małym dzieckiem łatwo się bawić, ale... dziecko starsze wymyka

nam się z rąk. Młodzież dzisiejsza łatwo się nudzi. Z obu stron następuje uprzejmy przymus i wreszcie rezygnacja rodziców — trzeba młodzieży dać swobodę... i rozchodzą się. Potem już pewne przyzwyczajenie, coraz mniej potrzeby wspólnego przebywania, a w końcu dom staje się wygodnym pensjonatem dla młodych, gdzie przychodzi się spać i jeść. A jakże często rola matki schodzi do roli gospodyni - służącej, której naturalnym obowiązkiem jest myśleć o wygodach domowników.

Jasną jest rzeczą, że chcąc ludzi połączyć należy jaknajskrzętniej powynajdywać wszystko to, co jest ich wspólnym dążeniem, upodobaniem i na tym budować porozumienie. Obecnie jedną z naszych największych bolączek starych i młodych jest znużenie współczesnym systemem życia, jego tempem i monotonią jednocześnie. Starzy i młodzi pragniemy wymknąć się gnębiącym troskom życia codziennego, zbliżyć się do przyrody, aby tam odnaleźć trochę swobody ciała i duszy. Zastanówmy się, czy właśnie na tej drodze nie znajdziemy poważnych możliwości porozumienia się z młodzieżą. Czy kultura fizyczna, czy sport uprawiane w rodzinie nie dają nam olbrzymiego pola do prawdziwego zbliżenia się do dziecka.

Czy to będzie kajak, narty, życie w namiocie, wycieczka turystyczna czy wreszcie choćby zwykła siatkówka — ileż wspólnych przeżyć, ileż okazyj do prawdziwego przyjrzenia się dziecku, do poznania jego prawdziwego usposobienia. Nieraz w ciągu kilku lat nie poznalibyśmy jakiejś cechy charakteru, która w tych szczególnych warunkach, wskutek specjalnej podniety występuje na jaw. A więc nadmiar ambicji u potulnego, nieśmiałego dziecka, niewzruszony egoizm u pełnego pieszczotliwej uczuciowości, zdolność do najgłębszej ofiary u pozornie szorstkiego egoisty itd. Wspólnie uprawiany sport jest doskonałą okazją do wniknięcia w zainteresowania dziecka, do ścisłego zjednoczenia się z tętnem jego życia.

W rodzinie, w której starsi uprawiają kulturę fizyczną, już małe dziecko osiąga wiele korzyści. Pomijając tak ważną kwestię zdrowia, kwestię wyżywania się dziecka i jego prawa do ruchu (nic nie pomoże ciągłe powtarzanie „siedź spokojnie"!) należy podkreślić czynnik przyjemności dziecka i jego zadowolenia życiowego. Dziecko z domu, w którym jest uprawiana kultura fizyczna, jest wyćwiczone od dzieciństwa, wygimnastykowane, w zabawach z towarzyszami będzie miało zawsze ważne stanowisko, będzie miało ufność w swoje siły, będzie czuło swą wartość. I przeciwnie, jakie smutne jest dziecko, nie umiejące złapać piłki w zabawie z innymi dziećmi, jakżeż czuje się upośledzone, boi się, że jest śmieszne w swej niezgrabności, a poczucie śmieszności to dla dziecka prawdziwy, szczery ból — nie mniej niż przez dorosłych odczuwany. Później w szkole zwalnia się z gimnastyki, bo nie chce okazać się niezgrabnym i wywoływać wybuchów śmiechu całej klasy. Tragiczne są nieraz losy jedynaka, wychowanego w domu intelektualistów, gardzących kulturą fizyczną. Bo w licznej gromadce dzieci, wychowanie fizyczne rozwija się samorzutnie w za-

bawie, a nawet w bójce. Dziecko nieśmiałe, mało zdolne, przez to zalęknione w szkole, bardzo często wykazuje dużą sprawność fizyczną, pomysłowość i doskonałą orientację podczas wycieczek, na obozie, w ćwiczeniach sportowych. Jego ambicja, że coś *potrafi* dobrze robić, daje mu duże zadowolenie. Jeżeli te wartości są *uznane* przez dom, ileż to mu dodaje otuchy życiowej i takie dziecko, jakkolwiek w pracy umysłowej mierne, może przez dobre samopoczucie i ufność w swoje siły dojść do niezłych rezultatów w szkole, wyrobić w sobie zupełnie dodatnią postawę do życia. Dziecko intelektualista z typu jest bardzo często w sporcie niezdara. Rzeczą domu powinno być przez specjalny respekt wychowania fizycznego wyrobić w nim odpowiednie nastawienie do sportu, a przez ćwiczenie — zręczność i harmonię między władzami umysłowymi i fizycznymi.

Kiedy przychodzi wiek przejściowy, okres dojrzewania — mówimy zazwyczaj — dzieci odchodzą od rodziców. Kształtuje się ich osobowość, krystalizuje światopogląd. Ale uderzmy się w piersi — co robią przeciętni rodzice, aby je zatrzymać. Owszem, grają w brydża, przesiadują w kawiarniach, czytają brukową prasę, sensacyjne powieści, które sami nie wierząc w wykonalność zakazu, zabraniają czytać młodzieży. Jak spędzają czas przeciętni rodzice poza pracą zawodową? A elita — zajęta pracą intelektualną też odseparowuje się od dzieci na swój sposób. Jak w niewielu rodzinach umieją ludzie dobrze spędzić niedzielę. Śpią długo, chodzą w negliżach niewiadomo do której godziny. Może wypoczywają, ale młodzież napewno nie wypoczywa w ten sposób. Rodzina, która potrafi mądrze zorganizować wczasy młodzieży przez wspólne miłe uprawianie sportu, poważnie przyczyni się do tego, że kwestia złego zachowania się młodzieży poza szkołą nie będzie tak palącym zagadnieniem jak obecnie. Życie w wielkich miastach rozbudza o wiele za wcześnie psychiczną dojrzałość płciową młodzieży — przez odwrócenie zainteresowań, przez zbliżenie do przyrody pozwolimy młodzieży wyładować się w zdrowym, normalnym ruchu, co umożliwi nam walkę z destrukcyjnym wpływem wielkomiejskiego życia.

Rozpatrując zagadnienie sportu w rodzinie musimy mieć na względzie nie tylko sport uprawiany przez całą rodzinę, ale również i ustosunkowanie się domu do sportu młodzieży w ogóle.

Rodzice uprawiający sport wyzbywają się przesadnego niepokoju o dzieci, nie zatruwają im każdej wycieczki, każdego wyczynu lękiem. Mając doświadczenie lepiej się orientują, do jakiego stopnia można dziecku zaufać, że lekkomyślnie nie narazi się na niebezpieczeństwo, grożące życiu czy zdrowiu. Obserwując dziecko we wspólnych wyprawach (kajak, narty, turystyka) podczas chwil trudniejszych, widzą w jakim stopniu dziecko umie sobie radzić i na co mu można samemu pozwolić. Jest to bardzo ważna sprawa w naszym stosunku do dorastającej młodzieży — matka stacza w sobie wprost walkę, kiedy dziecko wychodzi czy wyjeżdża z domu na

jakieś wyczyny: boi się grożącego niebezpieczeństwa, a z drugiej strony nie chce psuć mu przyjemności swoim lękiem, nie chce obniżać jego zaufania we własne siły. Jakże często zatruwamy dzieciom w ten sposób najmilsze chwile ich życia.

Rodzice uprawiający sport z dziećmi, przez wspólne przeżycia i wynikający stąd bliski kontakt, mogą wywierać duży wpływ na ustosunkowanie się młodzieży starszej do sportu. A więc przede wszystkim należy wprowadzić pomimo największego, najszczerszego zamiłowania doń, pewien umiar, aby kosztem kultury fizycznej nie były zaniedbane zainteresowania intelektualne, co tak często zarzucają młodzieży zajmującej się sportem. Bardzo ważne jest zrozumienie przez młodych, że sport nie jest celem samym w sobie, ale że prowadzi do wytworzenia harmonii między fizyczną i psychiczną stroną człowieka, a zrozumienie tej współzależności ma niezmiernie doniosłe znaczenie. Sport nie powinien prowadzić do bałwochwalczego kultu ciała pod względem siły i piękna, ale przywracać równowagę fizyczną, potrzebną dla utrzymania zdrowia ciała, energii moralnej, równowagę między władzami umysłowymi i fizycznymi. Siła mięśni nie powinna jednak nigdy przeważać nad siłą duchową. „Młodzież bez zasad etycznych napróżno mieć będzie powierzchowność Herkulesów".

W życiu praktycznym moralność nabiera wartości dopiero dzięki woli. Sport daje nam poczucie siły i władzy, uczy nas panowania nad sobą, wytwarza odporność moralną. Światopogląd młodzieży kształtuje się przede wszystkim na podstawie przeżyć związanych z upodobaniami i zainteresowaniami. W sporcie mamy wiele okazji do tego. Cnoty takie jak: odwaga, ufność w swoje siły, wytrzymałość, opanowanie, solidarność, gotowość okazania pomocy rozwijają się w sporcie praktycznie, mają praktyczne zastosowanie i przez to mogą stać się rzeczywistą podbudową moralności.

Rodzice i dzieci na wspólnych wycieczkach stykają się z przyrodą. Wychowanie estetyczne ściśle związane jest ze stosunkiem człowieka do przyrody. Ruch na powietrzu, przebywanie w lesie, wśród pól wytwarza w człowieku radość życia, przywraca równowagę wewnętrzną, utraconą przez nieodpowiednie warunki życia. Wspólne podziwianie piękna z najbliższymi, kochanymi ludźmi daje nam najcudniejsze, najwznioślejsze przeżycia. Daje to więcej niż dyskusje światopoglądowe. Chyba najważniejszym czynnikiem wychowania fizycznego jest zbliżenie się do przyrody, zrozumienie jej i ukochanie.

Tylko uczmy młodzież od najmłodszych lat, aby wyzbyła się niszczycielskiego stosunku do przyrody. Honorem sportowca powinno być: nie zaśmiecać leśnych muraw, nie niszczyć drzew, nie zakłócać majestatu natury niepotrzebnym hałasem i zgiełkiem.

Wychowanie fizyczne potęgując w człowieku radość życia stwarza atmosferę uspasabiającą do pracy. Konieczność zdobywania się na wysiłek

przymusza do czynu, przeciwdziała gnuśności i przeczuleniu. Raz otrzymane zwycięstwo nad trudnościami, które, zdawało się, przechodzą nasze siły, daje niezwykłe zadowolenie, przywraca wiarę we własne możliwości, jest bodźcem do wytrwałości w raz rozpoczętym wysiłku. Młodzież wprawiając się w walce z drobnymi przeszkodami przysposabia się do trudniejszych czynów w przyszłości.

Dzieci aż do młodzieńczego wieku mają ogromny szacunek dla sprawności fizycznej rodziców. Autorytet ojca wymaga, aby był dobrym sportowcem — jest on wzorem. Matka, która umie dobrze okopać namiot, rozstawić go, orientuje się na mapach krajoznawszych, na smarach do nart, która posiada wiele umiejętności w dziedzinie sportu, podwaja swój autorytet, staje się cenioną towarzyszką. Oczywiście matka ćwicząca nie może być zbyt przejęta sportem, nie może zaniedbywać swoich obowiązków, sama musi być tym regulatorem w rodzinie, który czuwa, aby wszystkie czynniki równomiernie i harmonijnie składały się na dobrą atmosferę domu. Zbyt wysportowana matka, traktująca egoistycznie swoją własną kulturę fizyczną, jest szkodliwa dla rodziny. Niedoskonałości jej w sporcie dzieci tolerują, czasem nawet wolą ją przewyższać. Ważnym natomiast jest jej stosunek do sportu, respekt kultury fizycznej.

Wspólne małe troski, wynikające ze wspólnych małych niepowodzeń (kajak przecieka, wiosło złamane, dziura w namiocie) stają się jednakowo ważne dla starych i młodych: patrzą na nie z jednakowym zmartwieniem, rodzice zapominają o rzeczywistych zmartwieniach życiowych — poważnych kłopotach, upodabniają się z dziećmi. Nie jest to już dla nich tylko „zabawa" dzieci, ale *rzeczywistość,* która może będzie bajką po powrocie do naprawdę rzeczywistego życia, ale już zdolność do patrzenia na te same rzeczy z jednakowego punktu, stwarza koleżeńskość i przyjaźń. Przy tym zaradność młodzieży w wyjściu z kłopotliwej sytuacji *udoraśla* ją wobec rodziców, daje okazję do przyjęcia postawy opiekuńczej szczególniej wobec matki. Wytwarza to pewne zrównanie członków rodziny w ich wzajemnych stosunkach do siebie, a wiemy jak wrażliwi są młodzi pod tym względem. Oczywiście, są to sprawy subtelne i dyskretne, jak zresztą każda dziedzina, która ma wpływać na kształtowanie się dusz ludzkich. Ważne jest bardzo umieć na obozach i wycieczkach radzić sobie z drobnymi niepowodzeniami i te wszystkie przeciwności umieć okraszać humorem i śmiechem, wspólnie zapominać o kłopotach i zmartwieniach. A potem przenieść tę umiejętność do swojego domu. Dzieci tak pragną mieć wesołych rodziców.

Wielkie sprawy i wielkie wydarzenia znaczą za naszych dni nowe szlaki w dziejach ludzkich. Wartość i słuszność ich osądzi czas. Człowiek, któremu przypadło w udziale wychowywać drugiego człowieka, musi czujnym okiem wypatrywać wszystkie możliwości, nie zaniedbać żadnej okazji, aby wychować go tak dobrze jak tylko potrafi.

Zofia Wołowska

KILKA UWAG W SPRAWIE SZKOLNYCH WYCIECZEK KRAJOZNAWCZYCH.

Ogromne znaczenie wycieczek młodzieży szkolnej, zarówno pod względem wykształcenia jak i wychowania, jest dziś już powszechnie uznane i rozumiane. Zbędnym też staje się uzasadnienie ich celu i potrzeby. Wystarczy przypomnieć kilka najważniejszych wartości, które daje młodzieży wycieczka: a więc możność bezpośredniego stwierdzenia faktów, o których mówi nauka szkolna (geografia, przyroda), zetknięcie się z przyrodą, zaprawianie się do samodzielności, do zaradności, ćwiczenie zdolności obserwacji i, wreszcie, nabywanie umiejętności współżycia w gromadzie. Ze względu na te i inne korzyści natury dydaktycznej i pedagogicznej, hasło urządzania wycieczek stało się dziś bardzo popularne. Szkoła w pełni docenia ich znaczenie i organizuje je skwapliwie. Corocznie też, w maju i w czerwcu widzimy liczne zastępy młodzieży i dzieci, ciągnące ulicami miast, wypełniające pociągi i schroniska. I niewątpliwie widok ten zasadniczo rozradowuje serce. Zasadniczo! Bo w praktyce, często się zdarza, że w zetknięciu z wycieczką szkolną doznajemy uczuć nieco odmiennych. Spotyka się nieraz w muzeach gromadki dzieci szkolnych, które najwyraźniej nie wiedzą, co mają podziwiać, nie słyszą wcale objaśnień przewodnika, a za to hałasują i poszturchują się wzajemnie. Również widuje się ciągnące ulicami miasta szeregi dzieci zdrożonych, zakurzonych, z oczami osowiałymi, które widziały już tyle gmachów, kościołów, zabytków, że wszystko już im jest obojętne, a jedynym ich pragnieniem jest: odpocząć. Niekiedy znów, niesforność, krzykliwe zachowanie się młodzieży staje się istną plagą dla spotykających ją turystów, zwłaszcza w schroniskach wycieczkowych, gdzie nieposzanowanie nocnej ciszy przez rozmowy i wybuchy śmiechu uniemożliwiają odpoczynek, nie tylko współtowarzyszom, ale i wszystkim w sąsiedztwie.

Stosunek młodzieży do samej wycieczki, do otoczenia nastręcza często krytyczne uwagi i budzi wątpliwości bardzo poważne.

Rzecz prosta, że przez dobrą organizację wycieczki można wiele tych ujemnych stron usunąć, nie można jednak zapobiec wszystkim trudnościom, o ile nie uda się osiągnąć właściwego ustosunkowania się młodzieży i rodziców do wycieczek szkolnych. Tu leży punkt ciężkości sprawy.

Ciekawy pod tym względem objaw można obserwować dziś u młodzieży gimnazjalnej. O ile dawniej chłopcy i dziewczęta wyrywali się do wszelkich wycieczek, uważając je za coś nad wyraz pociągającego, aczkolwiek połączone one były z dużymi niewygodami, kiedy to noclegi były z reguły na sianie, a szło się głównie pieszo, gdyż środki lokomocji były zbyt drogie, żywiąc się kaszą z kotła (jak to miało miejsce na wyciecz-

kach harcerskich) i chlebem z kiełbasą, dziś spotykamy się często z faktem, że młodzież niechętnie i jakby z pewnym ociąganiem się bierze udział w wycieczkach. Szkoła organizuje je bardzo troskliwie, wybiera piękny i ciekawy szlak, zamawia noclegi w dobrym schronisku (w łóżkach), dba o wyżywienie (obiady w restauracji), daje urozmaicony i zajmujący program zwiedzania. Ponadto dzieci obarczone są niewiarygodną wprost ilością zapasów słodyczy, a także kieszonkowymi pieniędzmi na kupno tak zwanych „pamiątek", słowem myśli się o wszystkim, co ma wycieczkę uprzyjemnić. A skutek tego jest taki, że na wycieczkę zgłasza się bardzo niewielka liczba uczniów, może jedna trzecia, albo czwarta część klasy, pomimo że nauczyciele zazwyczaj gorąco zachęcają i namawiają młodzież do wzięcia udziału w wycieczce, mającej przecież także i naukowy cel. Prawda, że wycieczka wymaga pewnej opłaty, ale nie działają tu hamująco same względy finansowe, które byłyby zrozumiałe; wiemy bowiem, że nieraz ci sami rodzice, którzy odmawiają udziału syna lub córki w wycieczce z powodu kosztu, wydają dla nich na kino, na pomarańcze, na słodycze, na stroje i różne zbytki z bardzo lekkim sercem te same pieniądze. Trzeba tylko, żeby dziecku na tym z a l e ż a ł o, wtedy pojedzie na wycieczkę. Wiemy przecież jak trudno jest, zwłaszcza dzisiejszym rodzicom, czegoś dziecku odmówić. Skąd się bierze u młodzieży ta niechęć do wycieczek, a przynajmniej ten chłodny do nich stosunek?

Ogromny trud, który szkoła bierze na siebie by wycieczkę zorganizować, by zebrać zawczasu „fundusz wycieczkowy", te wielkie udogodnienia komunikacyjne i schroniskowe z jednej strony, a ten stosunkowo niewielki zapał, to branie udziału w wycieczce jakby z łaski z drugiej strony?

Zdaje się, że właśnie w tym udogodnianiu, ułatwianiu życia tkwi częściowo źródło tego dziwnego objawu. Trud wycieczek dawnych nie odstraszał młodych, przeciwnie dodawał wędrówkom uroku, a ich taniość, dzięki prymitywnej formie nie odstraszała rodziców.

Jak zwykle, w sprawach wychowawczych, metoda rozpieszczania, zbytniego ułatwiania zawodzi. Oprócz nadmiernego komfortu, jakim otoczone są obecnie wycieczki szkolne, a o który szkoła troszczy się ze względu na życzenie rodziców, sama istota wycieczki jest często źle rozumiana przez rodziców, którzy przede wszystkim widzą w niej p r z y j e m n o ś ć dziecka i oczywiście chcą, by ona była jak największa. Dlatego obdarzają dziecko owymi nieszczęsnymi słodyczami, które kosztują często tyle, co połowa całej wycieczki, a są tak bardzo szkodliwe ze względów społeczno - wychowawczych. Ta forma opieki i troski rodziców o przyjemność dziecka przyczynia się wyraźnie do rozwijania w nim egoizmu i nie wyrabia społecznie. Na pewnej wycieczce szkolnej zdarzyło się, iż jedna uczennica, dobrze i ciepło ubrana, odmówiła oddania zapasowego koca

koleżance, której było zimno, mówiąc iż „Mamusia dla mnie dała ten koc"! To samo przejawia się w hałasach i rozmowach nocnych, prowadzonych przez niektóre jednostki, które uniemożliwiają odpoczynek innym zmęczonym koleżankom. Każdy nauczyciel, prowadzący wycieczki, wie jak ciężko jest walczyć z tym objawem egoizmu, który występuje zwłaszcza u dzieci rozpieszczonych.

To nastawienie młodzieży do szukania przede wszystkim własnej przyjemności wypacza cały wychowawczy i społeczny sens wycieczki.

W wycieczce krajoznawczej i rodzice i uczniowie widzieć powinni piękny, pociągający cel wyższego rzędu, a jest nim zaspokojenie pragnienia natury intelektualnej, pragnienia p o z n a n i a. Jak też jest tam dalej, w tych innych krainach, nad morzem, czy w górach, czy w kopalniach? Jak żyją ci inni ludzie? Pęd do pójścia w dal, w nieznane, który prawie każdy młody przeżywa (a często przeżywa go i nie młody!), możliwość przygody, sposobność wypróbowania własnych sił w warunkach innych, niezwykłych i wreszcie swoboda, którą zawsze niesie ze sobą wycieczka, swoboda wynikająca nie tylko z wyzwolenia się z codziennych obowiązków szkolnych, z wyjścia „poza mury" ale i z wyzwolenia sie z więzów codziennej wygody i ułatwień cywilizacji i możność zakosztowania jakiegoś innego życia.

Wobec takiego celu giną drobne przyjemnostki i nieważne stają się zwykłe wygody i przyzwyczajenia.

Trzeba tylko młodzież do takiego ujmowania wycieczek wprowadzić, trzeba jej tę ich najbardziej pociągającą stronę pokazać.

A że w gromadzie wszystko jest zaraźliwe, więc i taki właściwy „duch wycieczkowania" będzie się łatwo rozszerzał i może ogarnąć cały zespół. Nie wystarczy tu jednak nastawienie nauczycieli i ich oddziaływanie wychowawcze. Ducha tego musi wnieść sama młodzież — a wynieść go winna z domu.

Elżbieta Bąkowska

WIELKIE WAKACJE.

Na jednym z zebrań patronatu klasowego w czasie dyskusji nad zagadnieniem lenistwa młodzieży odezwały się głosy ze strony rodziców, że długie wakacje letnie są powodem rozleniwienia młodzieży w początkach roku szkolnego. Twierdzono, że cały wrzesień upływa wobec łamania opieszałości i pewnego rodzaju niechęci do systematycznej pracy młodzieży szkolnej. Brano pod uwagę dzieci skłonne do lenistwa, a takich niemało jest w wieku rozwoju fizycznego.

Warto może zastanowić się nad sprawą wobec zbliżających się wakacji letnich.

Wiemy dobrze czym są te „wielkie" wakacje. Ile projektów, zamiarów, ile marzeń snuje się przez cały rok pracy szkolnej, a im bliższy jest dzień zakończenia nauki, tym piękniejszy urasta w wyobraźni obraz tych „wielkich" oczekiwanych...

I oto przyszły. Książki, zeszyty schowane.

Cały długi, słoneczny letni dzień z jego możliwościami jest do dyspozycji. Co przyniesie? Czy zaspokoi głód nowych wrażeń, nowych przeżyć?...

Biada, jeśli przyniesie tylko jednostajność i nudę. Zamiast odpoczynku przyjdzie wówczas znużenie i ociężałość, zamiast odprężenia i naładowania psychicznego — jałowe rozładowanie energii i bezcelowe wytrącenie z regularnego trybu życia dnia szkolnego.

Wczasy letnie młodzieży szkolnej mają specjalne znaczenie i domagają się specjalnej uwagi ze względu na okres rozwojów fizycznego i psychicznego, związanych z określonym wiekiem. Niedawno czytaliśmy o pracach Instytutu Społecznego w związku z organizowaniem wczasów robotniczych. Trzeba rozpocząć prace nad organizowaniem wczasów młodzieży, — zwłaszcza szkół średnich.

Celowo pomijam na tym miejscu młodzież, biorącą udział w koloniach i obozach, ponieważ sprawy te wielostronnie były i będą zapewne, omawiane w „Rodzinie i Dziecku". Pomijam także młodzież, wyjeżdżającą z rodzicami do uzdrowisk, względnie spędzającą z nimi wakacje na wsi. Organizowanie bowiem, wartość i znaczenie wakacji „rodzinnych" podniósł i dokładnie uwypuklił artykuł „Wakacje" w Nr. 6 „Rodziny i Dziecka" z roku ubiegłego.

Chodzi mi w danym wypadku o młodzież zmuszoną do pozostania w mieście na okres letni całkowicie lub częściowo, to znaczy po powrocie z kolonij i obozów.

Trzeba pomyśleć o jej wymaganiach i zainteresowaniach. Trzeba zorganizować czytelnictwo w okresie wakacyjnym, otoczyć opieką sport młodzieżowy, zorganizować kilka czy kilkanaście różnorodnych wycieczek (krajoznawczych, społecznych, turystycznych itp.), kilka czy kilkanaście imprez kulturalno-artystycznych.

To znaczy o r g a n i z o w a ć w ścisłym znaczeniu tego słowa powinna młodzież sama, bo tylko w czynnym udziale znajdzie poszukiwane przeżycia i wrażenia.

Trzeba jej tylko poddać tereny, ułatwić i stworzyć możliwości, dać opiekę moralną i pomoc materialną z zasobów finansowych Kół Rodzicielskich. Działalność patronatów klasowych nie może kończyć się wraz z okresem nauki szkolnej tam, gdzie odłam młodzieży szkolnej zostaje w mieście na okres letni. Potrzebuje ona nie mniej — a może więcej — pomocy i opieki w okresie wakacyjnym, niźli w okresie pracy, gdy czuwa szkoła.

Wyłonione spośród rodziców komisje wakacyjne mogłyby spełnić zadania wychowawcze dużej wagi. Zorganizowane wczasy uchronić mogą od niepożądanych a często zgubnych wpływów, od nieodpowiedniego towarzystwa, w jakie wpaść może pozostawiona samej sobie, a szukająca „wielkiej przygody” młodzież szkolna.

„Wczasy organizowane dla młodzieży to prawdziwa i rzetelna pomoc rodzinie, która rozrywek tego typu dzieciom zapewnić nie może” (B. Wasylewski, Nr 4 „R. i Dz.”).

Słowa te nabierają specjalnej wagi w odniesieniu do okresu wakacji letnich, które są okresem wczasów i wczasom rozumnie i celowo organizowanym powinny być poświęcone.

Tego wymagają zdrowie fizyczne i zdrowie moralne naszej młodzieży.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Hartować, czy ochraniać?

Bardzo ciekawe zagadnienie poruszyła w Nr. 5 „Rodziny i Dziecka” p. Niesiołowska w artykule swoim p. t. „Cieplarnie”.

Zagadnienie poważne, którego niepodobna rozstrzygnąć jednobrzmiąco dla każdego wypadku.

Któż hoduje pod szkłem młode dęby, czy sosny? Za to sadzonka mimozy zginie bez ochronnego klosza.

Kto jednak powołany jest dla ludzkiej rośliny do rozstrzygania, czy mamy oto do czynienia z młodym dębczakiem, czy z egzotyczną mimozą? Mało kto z rodziców zastanawia się, jakie jest *moje* dziecko, w jakiej mierze odporne, jakiego stopnia hartowania czy ochrony wymaga jego ustrój fizyczny i psychiczny.

Przeważnie wychowuje się dziecko tak jak nas wychowywano; jeśli kto jednak wyniósł specjalnie ciężkie wspomnienia z systemu, jaki do niego stosowano, stara się wynagrodzić dzieciom własną krzywdę przez postępowanie wręcz przeciwne temu systemowi.

Posyła się dziecko do tej czy innej szkoły, ze względów najczęściej „środowiskowych”, a już powiedzmy wręcz — snobistycznych.

Mało kto zastanawia się nad tym, czy atmosfera danej szkoły będzie odpowiadała usposobieniu dziecka.

Dzieci wątłe, anemiczne, dziedzicznie obarczone skłonnością do gruźlicy, aczkolwiek nieraz wybitnie zdolne i ponad wiek rozwinięte, trudno przystosowują się do współżycia koleżeńskiego, są nietowarzyskie, przeczulone, nieśmiałe, nieufne. Przystosowywanie się wymaga sił, odporności, niezrażania się niepowodzeniem, a tu sił brak, organizm cały zaprzątnięty jest jednym tylko dążeniem, do zachowania bytu, do walki o zdrowie. Jak może dobrze się czuć w gronie ruchliwych kolegów dziecko, które męczy każda żywsza zabawa, którego przeczulony słuch razi wszelki wrzask, którego zbyt wrażliwa psychika zamyka się jak ślimak w skorupie przed zbyt silnymi bodźcami zewnętrznego świata.

Takie dzieci trzeba wprzód wzmocnić fizycznie, zanim się je wystawi na hartującą atmosferę życia koleżeńskiego z jego walkami, z jego różnorodnymi

wpływami moralnymi, którym łatwo ulec może chwiejna psychika wątłego dziecka.

Inne za to dzieci, zdrowe, odporne z natury, a chowane w atmosferze zbytniej troskliwości, w izolacji od tarć i bodźców życia zbiorowego, stają się rozdrażnione, nieznośne, despotyczne. Nadmiar sił żywotnych i energii, tłumiony popęd do samodzielności szuka rekompensaty w tyranizowaniu otoczenia.

Pierwszą zasadą w wyborze typu środowiska wychowawczego, odpowiedniego dla dziecka powinna być gruntowna znajomość tego dziecka, i to zarówno jego psychiki jak i ustroju fizycznego, istnieje bowiem ścisła współzależność między jednym a drugim.

Zapewne, są rodzice którzy potrafią dokonać trafnego wyboru na zasadzie wrodzonej intuicji, lepiej jednak zbytnio na tym darze niebios nie polegać, a zasięgnąć rady zarówno lekarza jak i doświadczonego psychologa wychowawcy.

Wiedza psychologiczna, na szczęście, osiągnęła już taki zasób doświadczenia i wiadomości, że niejedną zdrową i trafną wskazówką służyć może rodzicom, chroniąc ich od popełniania błędów, których wpływ na rozwój psychiki dziecka może stać się katastrofalny. *J. B.*

Jeszcze o osiedlu.

Głos o podwójnym życiu młodzieży na osiedlu porusza wiele momentów bardzo niepokojących. Wprawdzie na osiedlach szkół żeńskich incydenty z kartami czy papierosami nie zdarzają się, natomiast opowiadanie anegdot jest i tam na porządku dziennym i nic na to najlepszy nadzór nie pomoże.

Pomaga jedynie takie organizowanie życia osiedlowego, które pozwoliłoby na wyżycie się młodzieży w inny sposób, więc przez organizowanie zabaw ruchowych na świeżym powietrzu, przedstawień amatorskich i t. p. Program pobytu na osiedlu winien być przygotowany przez młodzież zawczasu, w porozumieniu z wychowawcą. Pobyt wychowawcy stałego na osiedlu jest nade wszystko wskazany, bardziej aniżeli stosowane przez niektóre szkoły angażowanie wychowawców osiedlowych, którzy nigdy tak dobrze nie znają powierzonej sobie młodzieży.

Na znanym mi osiedlu dziewczęta dzielą się na grupy, z których każda zajmuje jedną z sypialni. Za każdą z grup odpowiedzialna jest grupowa, która co wieczór zdaje sprawozdanie w świetlicy, po modlitwie, z pracy całego dnia. System ten daje bardzo dobre wyniki.

Sprawa słodyczy została już rozwiązana nie w drodze zakazu, a w drodze uspołecznienia. Wszystkie słodycze idą do ogólnego zapasu i są dzielone przez wychowawczynię między wszystkie dziewczęta. Tego rodzaju rozwiązanie wydaje mi się o wiele słuszniejsze niż zakaz absolutny. Dzieci się już do tej zasady przyzwyczaiły i chętnie się do niej stosują, rodzice również.

Osiedle, o którym wspominam, miało dobrze zorganizowaną pracę matek, które wyjeżdżały wraz z dziewczętami i nieraz okazywały się cenną pomocą dla wychowawczyń. Niestety, nie zawsze da się dobrać odpowiedni zespół matek, mających czas na wyjazd i niezbędny dar pedagogiczny w postępowaniu z młodzieżą.

Ponieważ na wspomniane osiedle wyjeżdżają nie tylko klasy gimnazjalne, ale i dzieci z klas szkoły powszechnej, na tle odwiedzin matek u swych młodziutkich pociech daje się zauważyć, że wpływ tych odwiedzin nieraz bywa ujemny. Dzieci denerwują się i podniecają. Cóż w tym dziwnego, kiedy taka mamusia cały czas swej bytności, czy to przy stole, czy na przechadzce tkwi nad swoją córeczką i bez przerwy strofuje. „Jak ty siedzisz! Nie garb się! Ręce trzymaj na stole! Jak ty jesz!”

Nic też dziwnego, że wobec projektowanej wspólnej z rodzicami wycieczki na osiedle małe zaprotestowały „Na co nam mamusie! Będą nam przeszkadzały! Nie dadzą nam się bawić!"

Oto obrazek ku przestrodze zbyt troskliwych matek.

Dzieci „źle kochane" wielkim głosem zdają się krzyczeć do swych kochających prześladowczyń: „Pozwólcie nam żyć"!

A. C.

GŁOSY RODZICÓW.

Młodzież, rodzina a chwila obecna.

Źle się dzieje z naszą młodzieżą. Wymyka się wpływom domu, wymyka się wpływom szkoły. Wyszła na ulicę. Tak. Niedawno w burzliwych demonstracjach ulicznych w Warszawie brali udział gromadnie, obok młodzieży akademickiej, już nie tylko uczniowie szkół średnich, ale i chłopcy ze szkół powszechnych.

Pan Minister W. R. i O. P. w swoim okólniku, zwróconym przeciwko penetracji polityki do szkoły, wzywa nie tylko wychowawców, ale i rodziców, aby strzegli młodzież od zgubnej agitacji politycznej.

Pan Wojewoda Jaroszewicz, po marcowych zajściach ulicznych, apelował w przemówieniu swym do rodziców i opiekunów, aby „roztoczyli jak najdalej idącą opiekę nad swymi dziećmi przez wynajdywanie dla nich odpowiednich zajęć w chwilach wolnych od nauki, niewypuszczanie samopas na ulicę, kontrolowanie powodów wyjścia i wywarcia presji moralnej na te jednostki, których udział w wystąpieniach jest w domu znany".

Bardzo słuszny i doniosły to apel. Rodzice z uznaniem i radością witają zrozumienie przez władze ich roli wychowawczej. Niestety jednak, w obecnej sytuacji rola domu jest niezwykle trudna. Bo pamiętajmy, że rozpolitykowanie przeszło do szkoły średniej od akademików. Ci starsi bracia, kuzynowie, krewni kolegów, imponują chłopcom, a trudno przecież odgrodzić młodzież szkolną od kontaktu z nimi na gruncie życia rodzinnego i towarzyskiego. Wpływ tej młodzieży starszej na młode pokolenie jest silniejszy niż wpływ domu, niż oddziaływanie szkoły.

A sedno zła, powiedzmy to sobie szczerze, leży w tym, że tej właśnie starszej młodzieży zanadto przewrócono w głowie, zanadto dano jej odczuć, że na jej pozyskaniu wiele zależy tym czy innym odłamom politycznym starszego społeczeństwa.

Roznamiętnienie zaś polityczne starszych roczników młodzieży, któremu towarzyszy żywiołowe rozhamowanie różnych zahamowań, wpojonych przez wychowanie rodzinne, szerzy się łatwo, udziela się młodszym jak infekcja, bo też jest typową epidemią psychiczną.

„Dlaczego dziś mi zabraniają politykowania?", rozumuje szóstoklasista, „kiedy za dwa lata nie tylko, że wszystko będzie mi wolno, ale będę należał do tych, o których względy ubiegają się stronnictwa". „My — przyszłość narodu", powtarza młodzież z dumą o sobie, niepomna, że ta przyszłość narodu będzie się kształtowała na podwalinach siły moralnej, wiedzy, umiejętności, jaką młodzież wniesie w życie narodowe. Im się zdaje, że dostateczne usprawiedliwienie do wszelkich uroszczeń stanowi młodość, która jest przecież tylko obietnicą przyszłych osiągnięć.

A jeżeli młodzież starszych klas gimnazjalnych przejęta jest poczuciem wła-

snej ważności, to młodsze pokolenia skwapliwie ją naśladują, i dziś już na zebraniach różnych klubów czy grupek chłopięcych uczniowie I-ej, II-ej czy III-ciej klasy gimnazjalnej, — rozprawiają o polityce. I to w jaki sposób! Przypisują, zresztą jaknajbardziej fantastycznie i opacznie, różne orientacje polityczne poszczególnym nauczycielom, dopatrują się, w sposób jak najbardziej krzywdzący i niesprawiedliwy, motywów politycznych w ich postępowaniu wychowawczym. Zresztą takiemu nastawieniu bywa nieraz winien dom, rodzice bowiem często wcale się nie krępują wobec dzieci w omawianiu i obmawianiu nauczycielstwa, od strony dziś najaktualniejszej, od strony przekonań i poglądów politycznych. Cóż tu się dziwić dzieciom!

Pochopność jednak w sądzeniu innych udziela się i tej młodzieży, której rodzice przeciwstawiają się tego rodzaju nastawieniom. Boć to przecież dla młodzieży w wieku dojrzewania stanowi wielką i sensacyjną atrakcję: konspirować się, zwalczać, potępiać, wydawać nieubłagane wyroki, i to na kogo? Na tych, którzy władzę mają nad nimi jako nauczyciele i wychowawcy.

Młodzież szkolna jest roznamiętniona, podniecona, lekceważy sobie dom, krytykuje nauczycieli. Któż tę młodzież powstrzyma od wystąpień ulicznych, kiedy uczniowie IV-ej klasy mają kapelusze (za wiedzą rodziców), a gdy po południu wychodzą na ulicę, bez znaczka i czapki, nikt ich nie odróżni od młodzieńców w ich wieku, którzy dawno już do szkoły uczęszczać przestali, pracują w handlu, czy w rzemiośle, albo nawet od młodocianych akademików. Tak przebrani uczniowie uczęszczają nie tylko na niedozwolone filmy, ale również uczestniczą w wiecach i demonstracjach, a wylegitymować ich nie tak łatwo.

Co do młodzieży z rodzin robotniczych i rzemieślniczych, to spędza ona i tak cały czas wolny od nauki szkolnej w świetlicach. A kto sprawdzi, czy tylko w świetlicach?

Sytuacja tak się ułożyła w chwili obecnej, że teraźniejszą młodzież szkolną trudno już jest rodzicom opanować wychowawczo. Mógłby to uczynić jedynie jakiś potężny prąd odrodzenia religijno-moralnego lub patriotycznego, który poruszyłby do głębi jej uczucia, ogarnął serce i wyobraźnię.

P. B.

PAMIĘTAJMY O KSIĄŻCE.

Nareszcie wakacje, urlop! Żegnaj miasto! Przez cały rok wyglądało się tej chwili! Czeka nas swoboda i odpoczynek, zieleń i słońce — szeroko odetchną płuca zatruwane dymem i kurzem wielkomiejskim — rozprężą się myśli — wszystko wokół będzie inne, odmienne, — na cały rok starczyć musi energia duchowa i fizyczna zdobyta w ciągu tych kilku wakacyjnych tygodni.

Przygotowania do wyjazdu. Miły nieład i harmider w domu. Spakować trzeba kufry, walizy, plecaki, sprawdzić czy jest wszystko, czy się czego nie zapomniało. — Mamo, jeszcze ten mój sweterek niebieski! — Mamo, a moja piłka? O, tu zmieści się doskonale! — Nie zapomnij o tym zielonym krawacie, a może upchasz gdzieś jeszcze tę kamizelkę wełnianą — lato zapowiada się chłodne. — Krząta się matka, uwija, cały ciężar przygotowań spada zawsze na jej barki. Byleby nie zapomnieć niczego, co mogłoby pobyt na letnisku uprzyjemnić! — Mamo, loteryjkę liczbową, koniecznie! Bo jakby deszcz padał, to co? Pamiętasz jak nudziliśmy się okropnie w zeszłym roku na wsi, gdy była słota? — Matka pamięta, więc zmieści się i loteryjka, i jeszcze dwie gry towarzyskie, kupione w tajemnicy. Jakaż to będzie miła niespodzianka dla dzieci! — Ojciec przezornie wkłada do kieszeni karty. Gdy będzie lało — bridż. Partyjka zawsze się zło-

ży. Dzieci już poduczone. Byleby matka nie zechciała wiecznie robótki dłubać! Raz jeszcze sprawdza się zawartość waliz. Jest chyba wszystko. Można jechać. Plany, marzenia, nadzieje. No, w tym roku uda się chyba z pewnością ten wspólny pobyt na wsi.

A jednak — znów się nie udał... Znów przyszły dni nudy. — Deszcz siąpi i siąpi. Góry (lub morze) we mgle. Zimno. — Nikt już nie chce ani tomboli, ani gier towarzyskich. Bridż idzie marnie. Wszystko się przejadło. — Zaczynają się wzajemne kwasy, wymówki, niechęci. Utyskiwanie rodziców na dzieci. Że kapryszą, że nieposłuszne, że niczym nie umieją się zająć. (Czymże się zająć, gdy deszcz pada?) Że cały rok się oszczędzało byle móc wyjechać, a teraz nikt nie jest zadowolony. Że młodzież dzisiejsza jest okropna, brak wspólnego języka między starszymi a młodymi. Że wogóle lepiej było w mieście siedzieć, co dzień przynajmniej były tam świeże gazety.

Jakże inaczej wyglądałby cały pobyt na letnisku, nawet w owe słotne dni, w które nie wiadomo co robić, gdyby przed wyjazdem ktoś był pomyślał o książkach! Ilu niezapomnianych wrażeń dostarczyłaby wspólna, głośna lektura, na którą w ciągu całego roku, w mieście, nigdy nie ma czasu. W walce rodziców o przywiązanie dziecka do domu, odpowiednio wybrana książka byłaby najlepszym sprzymierzeńcem, dopomogłaby do znalezienia owego „wspólnego języka", na brak którego wszyscy się skarżą, — ukazałaby rodzicom w momentach wspólnych dyskusyj i rozważań nad przeczytaną treścią, niejedną cechę umysłu czy charakteru dziecka, dotąd przeoczaną, niedostrzeganą. — Czas wakacji jest okresem szczególnie sprzyjającym takiemu przymierzu z książką, spełniłaby ona wówczas rolę dobrego, mądrego przyjaciela, który przyszedł do nas w odwiedziny, gawędą swą rozprasza nudy, płoszy zły humor, wprawia w nastrój wzajemnej życzliwości wszystkich członków rodziny. Narzekamy na zanik czytelnictwa, na przerost zainteresowań sportowych u młodzieży — czemuż nie staramy się wykorzystać każdego momentu, w którym książka mogłaby do dzieci naszych przemówić żywo i bezpośrednio, w okolicznościach szczególnie mocno wrażających się w pamięć, jakie nastręcza pobyt na letnisku.

Ludzie Dickensa („Dawid Coperfield", „Dwa miasta", „Opowieść Wigilijna"), mityczni bohaterowie Hellady (Parandowski: „Wojna trojańska", „Przygody Odysseusza", „Mitologia"), zwierzęta Jacka Londona („Mik", „Jerry z wysp", „Zew krwi") dostarczą niekończących się tematów do rozmów. — Na zawsze pozostanie w pamięci dziecka Conradowski „Murzyn z załogi Narcyza" czy „Korsarz", gdy pozna go wspólnie z rodzicami na wakacjach. Książki Dyakowskiego („Nasz las i jego mieszkańcy", „Z naszej przyrody"), Lewickiej: („Wśród naszych łąk i borów", „Z naszych pól i lasów"), Korsaka: („Na tropie przyrody") otworzą szerzej oczy dziecka na piękno przyrody, z którą tak blisko styka się podczas wakacji. — Tetmajer i Orkan ukażą mu lud podhalański i utrwalą na zawsze wspomnienia przeżyć wakacyjnych w górach; Zaruski („Żaglowym jachtem przez Bałtyk", „Na morzach dalekich"), Meissnerówna („Marynarze z Delfina"), Rabska („Baśnie kaszubskie") nauczą je kochać morze, którego szum budzi je teraz co rana.

Trudno wymieniać tu wszystkich autorów i wszystkie książki zasługujące na to, by stały się towarzyszami wakacji. Zależeć to będzie zarówno od wieku dzieci naszych i ich zainteresowań, jak i od okolicy, którą wybraliśmy na letni pobyt. Utwór związany treściowo z regionem, w którym spędzamy wakacje, wzbudzi najżywsze zaciekawienie. — W każdym razie — nawet w najskromniej zakrojonym budżecie powinna się znaleźć rokrocznie pewna kwota przeznaczona na zakup książki wakacyjnej, wybranej umiejętnie i z rozmysłem. Książki, któ-

ra nie tylko dostarczy miłej wspólnej rozrywki, uchroni przed nudą i rozczarowaniem, jakim darzy nas kapryśny nasz klimat — lecz i silnym węzłem przyjaźni zespoli dzieci z rodzicami.

O. W. U.

RECENZJE I SPRAWOZDANIA

I OGÓLNOPOLSKI KONGRES I WYSTAWA DZIECKA.

Troska o młode pokolenie jest jednym z najpoważniejszych zagadnień w Polsce. Perspektywy naszej państwowości i wielka liczebność elementu dziecięcego uzasadniają konieczność wskazania i ustalenia właściwych metod pracy dla dziecka i społecznego z nim współżycia. W tym celu organizuje się dobrowolna mobilizacja społeczeństwa polskiego.

Z inicjatywy Stowarzyszenia Uczestników Walki o Szkołę Polską około 100 organizacyj społecznych wyłoniło Komitet I Ogólnopolskiego Kongresu Dziecka, który objął swą działalnością całą Polskę. Weszli doń czołowi przedstawiciele społeczeństwa, rządu i samorządów. Celem Kongresu jest zwiększyć czujność społeczeństwa na los młodego pokolenia, rozwinąć świadomość szerokich warstw ludności co do potrzeb dziecka i sposobów ich racjonalnego zaspakajania, spopularyzować najwłaściwsze metody chowania i wychowywania oraz współżycia z dzieckiem.

Protektorat nad I-szym Ogólnopolskim Kongresem Dziecka raczył objąć Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki. Do Komitetu Honorowego zgodzili się wejść Pani Marszałkowa Aleksandra Piłsudska, Pani Prezydentowa Maria Mościcka, Pan Prezes Rady Ministrów i Minister Spraw Wewnętrznych gen. dr Felicjan Sławoj Składkowski, Pan Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego prof. Wojciech Świętosławski, Pan Minister Opieki Społecznej Marian Zyndram Kościałkowski.

Prezesem Komitetu Wykonawczego jest b. Minister Opieki Społecznej gen. dr Stefan Hubicki, wiceprezesami — pp. Stanisław Dobrowolski i Halina Sujkowska, sekretarzami pp. J. Czesław Babicki i Zofia Jaxa-Bykowska, skarbnikiem — p. Wacław Lipiński.

Termin Kongresu, który ma się odbyć w Warszawie, wyznaczono na 2, 3 i 4 października r. b. Program Kongresu obejmie dwa zasadnicze zagadnienia: stosunek do dziecka oraz najpilniejsze potrzeby dziecka. Każdemu z tych zagadnień będzie poświęcone jedno plenarne zebranie Kongresu i kilka posiedzeń komisyjnych.

Zagadnienie stosunku do dziecka ma być ujęte w tematach: dziecko i człowiek dorosły, dziecko w rodzinie, prawo dziecka do szkoły. Potrzeby dziecka mają naświetlać następujące tematy: matka i niemowlę na wsi i w mieście, jak odżywiają się nasze dzieci, zdrowie i praca dziecka, wczasy dziecka.

Hasła propagowane przez Kongres będą ilustrowane w sposób plastyczny na projektowanej wystawie, która ma być otwarta w czasie trwania Kongresu. Wystawa ta przemówi w sposób dostępny dla wszystkich i metodami najłatwiej trafiającymi do przekonania. Realizacja wystawy zależeć będzie w dużym stopniu od środków materialnych, jakie na koszta jej urządzenia zdobędzie Komitet.

Z wystawą łączą się dwa konkursy. Z inicjatywy Funduszu Kultury Narodowej Komitet ogłosił konkurs plastyczny (obejmujący malarstwo, rzeźbę i grafikę) na temat „Dziecka Polskiego". Drugi konkurs p.t. „Dziecko w fotografii" zainicjowało Stowarzyszenie Uczestników Walki o Szkołę Polską.

We wszystkich miastach wojewódzkich organizuje się Oddziały Komitetu dla ze-

spolenia współpracy całego kraju w przygotowaniu Kongresu i wystawy. Sprawa znalazła żywy oddźwięk i pobudziła prowincję do energicznej akcji.

W Warszawie biuro Komitetu mieści się w lokalu przy ul. Koszykowej 19 m. 12a, tel. 8.87-77.

SPRAWNOŚĆ I ZARADNOŚĆ.

Gdyby zapytać dzisiaj ludzi, szczególnie mieszkańców wielkich miast, co ich najbardziej męczy w życiu, wielu z nich odpowie napewno, że *pośpiech*. Pracować można dużo, praca — o ile nie jest nadmierna — wpływa nawet dodatnio i na stronę fizyczną i na psychikę człowieka. Byleby w niej był ład, kolejność zajęć, możność wykonania każdej rzeczy spokojnie i dokładnie. Niestety, człowiek współczesny jest do pewnego stopnia „ofiarą” dzisiejszego t e m p a życia, w ciągłym pośpiechu zatraca zadowolenie z własnej pracy, „gnany” siłą konieczności od jednej sprawy do drugiej, wyniszcza do gruntu swój system nerwowy, traci wolę i opanowanie.

Jak temu zaradzić, jak wyrobić we współczesnym człowieku zmysł sprawności życiowej, aby choć w części, choć na pewnych odcinkach życia z nieszczęsnej ofiary dzisiejszych warunków stał się istotą zadowoloną i zrównoważoną?

P. Szumlakowska („Pani Domu” Nr 2 r. b.) w artykule „Kilka słów o sprawności i zaradności” bardzo ciekawie ujmuje właśnie kwestię racjonalnej organizacji naszych codziennych zajęć, które każdego z nas tak bardzo absorbują. W dzisiejszych czasach, kiedy tempo życia — pisze autorka — zaledwie pozwala nam podołać obowiązkom i nadążyć naszym zainteresowaniom, „pomnożenie” czasu, którym rozporządzamy, jest palącym zagadnieniem dla współczesnego człowieka. Nie wolno pozwolić sobie kraść ten cenny czas przez nieudolność w wykonywaniu naszych zajęć, przez bezplanowość, bezmyślność czy brak dyscypliny. Do sprawności trzeba też i opanowania, „świadomego ujęcia w karby swojej woli i ruchów”. Całe nasze życie powszednie ze wszystkimi codziennymi czynnościami (mycie się, ubieranie, sprzątanie po sobie, załatwianie sprawunków itp.) ileż nam pochłania czasu i energii. Czynności te są drobne, niby błahe, ale każdy musi je wykonywać, muszą być należycie opanowane i usprawnione, one bowiem mają wielki wpływ na wydajność całego naszego życia, mogą dać duże zyski na czasie i wysiłku, pozwalając wypełnić nadwyżkę wolnego czasu sprawami, które urozmaicą i upiększą nam życie.

Najodpowiedniejszą szkołą sprawności dla człowieka powinien być jego dom rodzinny. Do pewnego stopnia sprawność, a więc i życiowa wydajność pracy człowieka zależy od „przeszkolenia”, jakie przeszedł we wczesnej młodości w zakresie techniki życia codziennego. Wyrobienie sprawności w młodym pokoleniu jest o wiele łatwiejszą rzeczą niż u dorosłego człowieka i należy do obowiązków matki. (Wielką pomocą pod tym względem jest przebywanie młodzieży na obozach).

„Stąd wniosek, że dla wyrobienia zaradności w dziecku należy mu dać swobodę i możność samodzielnego wykonywania różnych czynności i to nie w sztucznej i oderwanej atmosferze dziecinnego pokoju, ale przez uczestniczenie w życiu codziennym i pracach domowych. Dla wyrobienia zaś sprawności niechaj otrzyma wskazówki, niechaj uczestniczy w pracach ludzi dorosłych, wykonywanych sprawnie po ich uprzednim przemyśleniu i zorganizowaniu. Przykład będzie tu decydującym czynnikiem. Błędem zasadniczym i częstym jest mniemanie, że dopiero dziecko nieco podrosłe należy uczyć samemu sobie dawać radę, w wyniku czego zdarza się często, że gdy chcemy takie dziecko uczyć różnych czynności, ono nie chce nic samo robić i każe się obsługiwać, jak do tego było przyzwyczajone, tracąc w ten sposób możność zdobycia sprawności. Należy tylko przy takim wychowaniu uzbroić się w wielką cierpliwość, bo przecież dziecko nie odrazu zdobywa wprawę. To, co ono robi, trwa długo i jest źle zrobione, co nam przysparza pracy, ale przez to trzeba przejść. Naj-

większą wadą wielu wychowawców jest niecierpliwość: wolą sami wszystko za dziecko zrobić prędzej i lepiej, ale w ten sposób zabijają w dziecku naturalny pęd do opanowania techniki życia codziennego. Im dziecko starsze i gdy siły jego na to pozwalają, tym bardziej można je „wciągać" w różne zajęcia, pogłębiając jednocześnie jego zainteresowanie sprawnym wykonywaniem różnych czynności, przez wskazywanie ich celowości, analizowanie ruchów, rodzajów techniki wykonania itp. Przez takie uczestniczenie w życiu i pracach domu dziecko powinno nabyć sprawność w zakresie codziennych zajęć, co mu da podstawę zdobywania sprawności na innych terenach.

Dom więc — to najpierwsza i najważniejsza szkoła sprawności, a przyzwyczajenia, które dziecko pod tym względem wyniesie z domu, zostaną mu już na całe życie."

Z PRASY POLSKIEJ.

Licea ogólnokształcące w roku szkolnym 1937/38.

Miesięcznik „Oświata i Wychowanie" podaje sprawozdanie z rozwoju liceów ogólnokształcących w r. szkol. 1937/38.

Na ogólną liczbę 15,993 uczniów, którzy się kształcą w liceach ogólnokształcących, najliczniejszą frekwencją cieszą się licea humanistyczne (8,887 uczniów), najmniejszą zaś licea klasyczne (575 uczniów), przyrodnicze i mat. fizyczne mają po przeszło trzy tysiące uczniów.

Widzimy stąd, że liceum klasyczne nie cieszy się powodzeniem.

Kształcenie pamięci.

W marcowym numerze „Muzeum", prof. Roman Ingarden poświęca ciekawy artykuł zagadnieniu „Lekceważenie pamięci".

Stwierdza on na podstawie własnego doświadczenia nauczycielskiego, że pamięć młodzieży na ogół nie dopisuje. Jest za mało obszerna, w znacznym stopniu niewierna i nietrwała. A przecież trwałość pamięci zależy od sposobu uczenia się.

Szkoła współczesna powszechna i średnia, pisze profesor, zarówno u nas jak i zagranicą, nie ćwiczy pamięci dla niej samej, dlatego by ją uczniowie posiadali jako sprawny narząd, bez względu na to coby mogli pamiętać — nie ćwiczy zaś jej, albowiem główne prądy pedagogiki współczesnej nie cenią pamięci, więcej, wyraźnie ją lekceważą jako jedną z władz duchowych.

Brak zaś pamięci mści się nie tylko w szkole, ale i w życiu, w pracy zawodowej. Nawet rozbudzone uzdolnienia, dowodzi prof. Ingarden, bez pomocy pamięci funkcjonują bez ładu i składu, wyradzają się w skłonność do „bujania", blagi, gadatliwości i mędrkowania.

Rozwijanie umysłów młodzieży przy pomocy tylko dyskusji i heurezy prowadzi zazwyczaj raczej do rozwichrzenia.

Nie znaczy to, aby wrócić do starych metod nauczania, ale większą uwagę zwrócić należy na umiejętność uczenia się, rezultaty nauki szkolnej staną się o wiele lepsze i dla samej młodzieży i dla społeczeństwa.

Czy tak jest wszędzie?

Wileńskie „Słowo" zamieszcza opowiadanie p. Z. Ostrowskiej - Zarnowieckiej, gdzie przedstawione są niezasłużone niepowodzenia szkolne chętnego i dobrego ucznia.

Boguś zdał świetnie egzamin do gimnazjum, uczy się chętnie i z zapałem.

Przy tej pogodnej pracy mija parę miesięcy i nadchodzi „dzień wywiadowczy". Pani Korczakowa, układając sobie słowa, jakimi wyrazi swoją wdzięczność szkole, zbliża się do stolika wychowawczyni.

— Bogdan Korczak? Aha, mam. Więc proszę pani, muszę przede wszystkim pani powiedzieć, że Boguś jest leniwy.

Z twarzy pani Korczakowej znika uśmiech, za to oczy otwierają się bardzo szeroko.

— Tak, proszę pani, właśnie mam tu zanotowane...

— Czy nie odrobił kiedy lekcji?

— Prawie, bo mapę Grecji narysował ołówkiem, a to się uważa za równoznaczne z nieodrobieniem lekcji. Pozatem zrobił błąd, pisząc opowiadanie francuskie na tablicy, następnie pomylił się w zadaniu klasowym matematycznym...

— Ależ, pani profesorko, to nie dowodzi lenistwa!

— Owszem proszę pani, Boguś jest zdolny, więc mógłby wcale nie robić błędów, gdyby tylko zechciał się uczyć. I jeszcze jedno — Boguś przeszkadza na lekcjach.

— On? Przeszkadza? — pani Korczakowa uszom własnym nie wierzy — I w jakiż to sposób, proszę pani?

— Ciągle podnosi rękę, ciągle chce odpowiadać...

— Bo ma żywy umysł! — pani Korczakowa już się gorączkuje. — Zawsze przecież słyszałam, że to dobrze, jeżeli uczeń bierze udział w lekcji!

— Tak, ale niech on zrozumie, że mamy pięćdziesięciu uczniów w klasie, a przy takiej gromadzie na tych najzdolniejszych przychodzi kolej najrzadziej.

„Jest leniwy i ciągle chce odpowiadać" — powtarza sobie pani Korczakowa przez całą drogę, a pomimo to wydaje jej się, że coś przekręciła. Czyż naprawdę tak było powiedziane: „Jest leniwy i ciągle chce odpowiadać"?

Bogdan stoi przed domem i z daleka już pyta:

— No i co, mamusiu? Co powiedzieli?

Pani Korczakowa smutnie spogląda na syna i milczy. No, ale jakże? Trzeba przecież powtórzyć to wszystko „żeby się poprawił".

— Nie, mamusiu, ja się nie mogę poprawić — mówi poważnie Bogdan. Smutno i poważnie jak dorosły człowiek. — Lekcyj już lepiej odrabiać nie potrafię. Za to, że się nigdy nie omylę na klasówce, albo przy tablicy także nie mogę ręczyć. Najwyżej mogę tylko nie podnosić ręki i „nie chcieć odpowiadać". Tylko, że tak, to będę się bardzo nudził w szkole...

— Trudno, synku, skoro „oni" tego wymagają...

Bogdan milczy przez chwilę z brodą opartą na rękach, a potem spogląda na matkę i mówi cichym głosem:

— To już wszystko, co oni mówili? Nic dobrego, same złe rzeczy?

— Nie, nic więcej.

Bogdan po raz pierwszy odsuwa z niechęcią książki i rzuca je bezładnie na półkę.

— Czy tak jest wszędzie, mamusiu? — pyta, powstrzymując z trudem łzy. — w każdym gimnazjum?

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Dzieci przemęczane przez rodziców.

W „Education Familiale" (luty rb.) p. Hervé bierze w obronę przeciwko rodzicom te dzieci, od których przez ambicję i egoizm wymaga się nadmiaru pracy i wysiłku.

„Znałem chłopca zdolnego, pisze, pełnego dobrej woli, który zajmował drugie miejsce w swojej klasie, a któremu ojciec dzień w dzień w ciągu całej nauki gimnazjalnej przypominał, że m u s i zostać prymusem. Mimo uporczywej, gorączkowej,

nadmiernej pracy, chłopiec nie osiągnął tego celu. Wzamian zyskał silną krótkowzroczność, skrzywienie kręgosłupa, oraz usposobienie młodego staruszka. Ten chłopiec, który ma 20 lat, nie zna co to śmiech.

„Znam wiele dzieci, dodaje autor, które po 5-ciu lub 6-ciu godzinach pobytu w szkole muszą nie tylko odrabiać lekcje, zadane w szkole, co im zabiera cały ich wolny czas popołudniowy, ale jeszcze wieczorem mają co dzień lekcje jakiegoś dodatkowego przedmiotu. Po tej lekcji znów siadają do powtarzania tego, co zadane na dzień następny. Biedni mali skazańcy na ciężkie roboty.

Narzeka się, że programy szkolne są przeładowane. Nie dołączajmy przynajmniej do przemęczenia szkolnego jeszcze przemęczenia domowego, nie żądajmy od dzieci powodzenia szkolnego, przerastającego ich siły, nie zmuszajmy ich do uczęszczania do klasy, do której wiekiem rozwojowym nie dorośli.

Zastanówmy się, czy i u nas nie dzieje się podobnie? Czyż nie znamy licznych rodzin inteligenckich, gdzie się dziecko przemęcza i wykoleja, tylko aby dogodzić nierozumnym ambicjom i snobizmowi rodziców?

Dokuczanie jest często szkołą okrucieństwa.

Francuski tygodnik kobiecy „Marie Claire” podaje interesujące rozważanie, które tu powtarzamy w streszczeniu.

Dziecko dostało ciastko.

„Oddaj, ja sam je zjem!”

Dziecko przyciska mocno do siebie swój skarb i ucieka. Zaostrza się jego poczucie własności, budzi się egoizm wraz z obawą pokrzywdzenia.

Dokuczanie, droczenie się z dzieckiem, to rzecz niebezpieczna: śmiech, który wywołuje często łzy. Jest to nieraz forma przejawiania złośliwości u jednostek słabych.

Jednakowoż, dokuczanie nie zawsze płynie ze złego serca. Czasem bywa tylko objawem niezręczności.

Trzeba unikać dokuczania, trzeba zwracać uwagę na złe konsekwencje wychowawcze, które pociąga za sobą to na pozór niewinne, a tak złe przyzwyczajenie. Trzeba je wykorzeniać u dzieci, gdyż może się w przyszłości przerodzić w poważną wadę.

OBRAZKI Z ŻYCIA.

Zdawałoby się, że kara cielesna zniknęła już ze szkoły bezpowrotnie, a również chyba zniknęła i z domów rodzinnych młodzieży, przynajmniej szkól średnich. A oto fakt zaszły niedawno w jednej ze szkól stolicy: wychowawca rozmawia na zebraniu wywiadowczym z matką chłopca, który ma na okres siedem dwójek. Strapiony nauczyciel zwraca się do matki z wyrzutem: — czy państwo nic nie robią, nie mogą jakoś wpłynąć na Henia? Trzeba coś robić koniecznie!

— Jakto nic nie robią! — przerywa wzburzona matka — mój mąż go bije i chyba pan przyzna mnie rację, bo przecież mój mąż nie ma słuszności bijąc chłopca po głowie. Po głowie bić nie można, to może zaszkodzić. No prawda, że w głowę nie można bić? Co innego po ciele, po ciele to przecież można. Prawda?

* * *

Często matki pracujące w patronatach sądzą, że dzięki swej pracy w szkole zyskują pewne przywileje, które pozwalają im wywalczać względy dla swych dzieci. Oto kilka wykrzykników: „nie po to pracuję tyle w szkole, żeby mój syn dwóje brał...” Inna mama kwestionuje osobę nowego wychowawcy w klasie i rozżalona twierdzi, że za gorliwą pracę powinnaby chyba mieć jakiś wpływ na dobór nauczycieli. Takich i

podobnych pretensji słyszy się mnóstwo w każdej szkole.

Słyszano o pewnej matce, która przez osiem lat pracowała w patronatach, ciągle czynna, to przy śniadaniach, to urządzała wycieczki, kolonie, zabawy; nauczycielstwo wyręczało się nią na każdym kroku, nigdy bowiem nie odmówiła. Przestano się jej pytać, już nie p r o p o n o w a n o, ale poprostu m ó w i o n o, co ma zrobić i tak przecież wszyscy wiedzieli, że się zgodzi; wprost wcieliła się w szkołę — tak wszyscy przywykli do jej widoku i zawsze gorliwej pracy.

W roku zeszłym, w 8-mej klasie, córki jej nie dopuszczono do matury ze względu na zbyt niski poziom. I tu zaszła tragedia. Matka przez osiem lat cicha, pracowita i potulna urządziła hałaśliwą, wulgarną scenę w gabinecie dyrektora: — ...więc za te osiem lat pracy i to jakiej pracy, że zapomniałam o swoim domu i innych obowiązkach, że wysługiwałam się szkole, teraz taką mam nagrodę za to wszystko! — I podniesionym głosem wołała o swojej krzywdzie, wykrzykując całą swoją rozpacz i zawiedzione nadzieje. Przykre to było dla dyrekcji, przykre dla nauczycieli i kto wie, może łączyło się z pewnym wyrzutem, że może jednak przez te wszystkie lata nadużywano jej pracy, jej czasu, tak całkowicie wciągając ją do szkoły, zamiast uświadomić, że powinna była przede wszystkim pilnować własnego dziecka, dbać o własny dom, a dopiero nadmiar czasu i sił poświęcić dla innych.

*

* *

Kino. Tłoczno, rojno i kolorowo. Film dozwolony od lat 18. Bileter szepcze dyskretnie do dwóch panienek podających mu bilety do kontroli: — Czy panie tarcze odpięły? — Tak — odpowiadają przyciszone głosiki. — W porządku, proszę — orzeka z uśmiechem uznania stróż bezpieczeństwa moralnego młodzieży.

W kilkanaście minut później. — Czy to znaczek czy broszka na berecie (uczennica prywatnego gimnazjum)? — Znaczek. — Proszę nie wchodzić, film niedozwolony dla uczącej się młodzieży. — To broszka, proszę pana — poprawia się z filuterną minką panienka. — W takim razie proszę. —

Jaką wspaniałą metodą uczy się młodzież orientacji i roztropności życiowej.

KINOMAN.

Staś ma 9 lat. Jego matka chodzi na posługi. Staś uwielbia kino. Nie może wytrzymać, żeby nie być raz na tydzień na przedstawieniu (w tanim kinie dla dzieci, gdzie bilet kosztuje 20 groszy).

Staś nie zadowala się jednokrotnym obejrzeniem obrazu. On musi przesiedzieć co najmniej na dwóch, ba, i na trzech seansach. Wtedy dopiero wszystko dobrze rozumie. Potrafi świetnie, z przejęciem, z najdrobniejszymi szczegółami opowiedzieć treść filmu. Jego bohaterami są „Bucek" Jones i Ken „Majinard" (tak wymawia ich nazwiska).

Staś dostał na półrocze dwójkę z arytmetyki i dwójkę z polskiego. A przecież jest dzieckiem nie tylko zdolnym, ale wyjątkowo zdolnym. Zbadany w poradni wykazał iloraz inteligencji 115. Z arytmetyki, gdy mu dano pomoc, dogonił klasę w ciągu trzech tygodni. Czyta nadal źle. Nie interesuje go słowo drukowane. On radby tylko oglądać obrazki. Przepada za wszelkimi ilustracjami. Godzinami gotów oglądać roczniki „Morza".

Gdyby nie kino, byłby się już oddawna, przy swej bystrej inteligencji wciągnął w czytanie.

„A czy pan wie, że jeden chłopiec z mojej klasy, to buchnął matce 20 groszy na bilet"? — opowiada Staś.

— To bardzo brzydko, prawda?

— A mnie to mama zawsze da na bilet. Już ją tak będę prosił, że musi dać!

— A gdyby nie miała?

— No, to przyjdę do pana...

Te słowa są dowodem zaufania. Staś

ma dobrą matkę i ufa ludziom. Jest, jak Kim „przyjacielem całego świata". Kocha zwierzęta.

Ale o śmierciach i morderstwach w kinie opowiada jak o czymś naturalnym, oczywistym. Może te krwawe historie spłyną po nim, nie pozostawiając w psychice głębszych śladów ujemnych. Ale inni jego rówieśnicy?

DZIECKO Z TRANSMISJĄ.

Na FOM! na Czerwony Krzyż!
Podług nowej ortografii pisz!
Naucz się słówek! przelicz na nowo!
Popieraj Ligę Drogową!
Trzymasz się źle!
Dzień Oszczędności! Kup znaczek na LOPP!
Wypracowanie napisz, czym jest KOP!
Uśmiechnij się!
Wymijaj w prawo! jedz witaminy!
Przed obiadem spacer pół godziny!

A nasi przodkowie byli dzicy,
bo nie jeździli autem po ulicy
i dzieci stawiali do kąta.
Piąta!
minut sześć!
Pomiędzy posiłkami bardzo niezdrowo jeść.
Audycja się rozpoczyna!
Piąta!
minut siedem!
To bujda z tą lampą Aladyna,
my mamy kontakt.
A taki jeden
czarodziej maszynowy
smokom poucinał głowy.
„Matka dziecko otruła esencją octową",
a ty na boisku piłkę sobie kop.
Mama idzie na dancing. Czy Czortek to bokser?
Radio ci do snu zaśpiewa slow-foxa.

Stop!!!

W polu
rosną kłosy, rosną kąkole.
Razowiec na śniadanie
zjesz, synku, leżąc na sianie.
Idziemy do lasu.
Chcesz? biegaj, śpiewaj, hałasuj!
Od świtu do zachodu dziw: tyle czasu...

Maria Niklewiczowa

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11
(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020
Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40